Nr. 17. Kraków, dnia 24 kwietnia 1910. ROK 1.

TYGODNIK ILUSTROWANY NARODOWY

W trzechlecie hakaty w Galicyi.

Zanim przystąpimy do drukowania prac konkursowych ogłaszamy rzecz nam nadesłaną, przypominającą trzecią rocznicę założenia w kraju organizacyi niemieckiej. — Red.

Niemcy sprowadzeni do Galicyi od czasów Józefa II. rzekomo „w celu szerzenia kultury niemieckiej", mieli na celu wraz z całą falangą urzędników niemieckich kraj nasz zgermanizować. Z zaprowadzeniem konstytucyi zmienił się ten prąd, zaprzestano dalszego kolonizowania. Osady niemieckie, o ile było to możliwe, zachowały swoją odrębność, ale z ludnością krajową szły zgodnie i zgodnie pracowały nad wspólnem dobrem kraju. W sferach wszechniemieckich, nie austryackich ale państwa niemieckiego, zwrócono uwagę w ostatnich latach na nieznaczną liczbę Niemców galicyjskich i w przekonaniu, że spełnili oni już swą „misyę kulturalną", postanowiono przesiedlić ich w Poznańskie. Emigracya do Księstwa Poznańskiego i w znacznej części i do Ameryki zatrwożyła przedewszystkiem Niemców bukowińskich, i ci za pośrednictwem pastora stanisławowskiego T. Zöcklera, a ze współudziałem [weterynarza wojskowego Schmidta i ówczesnego komisarza policyi lwowskiej, a obecnie sekretarza magistratu w Białej Neubecka wywołali w kraju naszym ruch obecny. Założono w lecie r. 1907 „Bund der christlichen Deutschen in Galizien" i wydano 18 sierpnia 1907 pierwszy numer „Volksblattu".

Potrzebę założenia „Bundu" określono w n-rze 13 „Volksblattu" w sposób następujący: „Bajka o polskości kraju, którą często słyszymy, jest śmieszna, bo kraj, który zamieszkujemy, jest w szerszem tego słowa znaczeniu austryacki, w ściślejszem zaś ruski, a właściwie jest on niemiecki. Nasi przodkowie zrobili z kawałka pustego kraju, kawał roli urodzajnej, i bylibyśmy niegodnymi tchórzami, gdybyśmy się nie starali tej drogiej spuścizny utrzymać w niemieckości".

Cel i zadania zakreślił sobie „Bund" początkowo skromnie. Niemcy z radością chcą pracować nad ogólnemi zadaniami państwa w pokoju i przyjaźni z narodami tego kraju, do którego powołał ich Józef II. Szczerem dążeniem „Bundu" miało być zachowanie pokoju i spełnianie obowiązków względem kraju i cesarza, obok stawania w obronie zagrożonych praw i mowy niemieckiej. A tymczasem w ciągu niedługiego czasu zabrnął „Bund" w wszechniemieckość, będącą w ogromnej sprzeczności z obowiązkami poddanych austryackich, rozwinął ogromną nienawiść, jaką zieje obecnie do wszystkiego co polskie. W całej akcyi dotychczasowej przebija się niesłychana przewrotność, kłamstwo i obłuda, — chwilowe przyczajanie się w celu zmylenia czujności przeciwnika. A przecież pomimo całej ostrożności i kluczenia cel Bundu uchwycić można, studyując nie pojedyńczo ale zbiorowo wydane dotąd n-ra Volksblattu. W n-rze 12 daje się porwać uniesieniu i zaczyna być szczerszym w określeniu stanowiska swego wobec Polaków.

„Już te czasy minęły, kiedy uchodziło krzywdzić drugich. Lud niemiecki zerwał się do obrony przeciw polonizowaniu i wyrugowaniu, i tej świętej walki tak długo nie zaprzestanie, dopóki nie wywalczy zwycięstwa". — A dalej rzuca hasło: „Walka z naszym wrogiem i z jego otwartymi i ukrytymi politycznymi naganiaczami! Liczba tych, którzy nasz świeży zasiew chcą zdeptać i zniszczyć, musi się zmniejszyć i stać nieszkodliwą". Ruch niemców nazywa „zapasami ducha niemieckiego z słowiańską przewrotnością".

Jasno i zrozumiale występuje określenie zadań Bundu dopiero w n-rze 38 Volksblattu. W artykule zatytułowanym „Entweder — Oder!" usiłowane jest przeprowadzenie dowodu, że utrzymanie Niemców w Galicyi jest konieczne nietylko ze względów wszechniemieckich ale i austryackich.

Ze stanowiska narodowego niemieckiego należy uważać niemieckie kolonie w Galicyi jako naturalny łącznik między Śląskiem a Bukowiną. Jak długo pragnie się utrzymać niemieckość na Bukowinie, tak długo nie można zaniedbywać Niemców w Galicyi. Kolonie bukowińskie powstały w znacznej części z galicyjskich i utrzymują z niemi dotąd ścisłe stosunki. Gdyby Niemcy galicyjscy wyemigrowali, to bukowińscy byliby zupełnie odcięci od świata germańskiego, uniwersytet czerniowiecki straciłby swe znaczenie i osłabłaby siła odporna niemców na Bukowinie. Z drugiej strony znów wyparliby Polacy łatwo grupę Niemców bialskich i całą nawałą wdarliby się na Ślązk. W interesie więc utrzymania Ślązka i Bukowiny w rękach niemieckich nie należy zaniedbywać Niemców galicyjskich.

To też Niemcy nasi uważają się za forpoczty germańskie, które stoją w naszym kraju na straży interesu wszechniemieckiego. Staraniem „Bundu" jest wzmocnienie osad.

Ruch wychodźczy, jaki się objawił wśród Niemców przed kilku laty uważają twórcy „Bundu" za nieszczęście, starają się więc zapobiedz mu wszelkimi sposobami, wysyłając natychmiast swego delegata na miejsce zagrożone.

Ducha niemieckiego krzewić „Bund" pragnie przez zakładanie szkół niemieckich, przez obsadzenie ich nauczycielami, przejętymi duchem prawdziwie niemieckim, tj. takimi, którzy przystąpią zaraz do założenia miejscowego koła „Bundu" i krzewić będą oświatę w kierunku przez niego wskazanym. Ci którzy nie uznają tych zasad, są w oczach „Bundu" renegatami i złoczyńcami ostatniego rzędu. Szpalty „Volksblattu" są przepełnione opisami tych „niesłychanych krzywd" i „ucisku", jaki spotyka Niemców ze strony polskiej i artykułami, piętnującymi każdy inny kierunek, który z nim się nie łączy.

Na polu ekonomicznem pragnie „Bund" podnosić Niemców przez zakładanie przedewszystkiem sklepów i niemieckich kas Reifeisena, które zorganizował w osobny związek i zogniskował w banku narodowym.

Żądania ich w kwestyach politycznych są aż nadto znane. Wnikają głęboko w dążenia nasze samorządne i narodowe. Tem są niebezpieczniejsze, że poza niemi stoją Wiedeń i Berlin.

Zygmunt Dobrzański.

Po zjeździe żydowskim.

(Z listów do redakcyi.)

Tarnobrzeg, w kwietniu.

I znowu mieliśmy we Lwowie konferencyę syońską, wrogów wszystkiego co nasze, znowu mamy dowód niezbity, że mamy wśród nas ruch groźny, na który baczniejszą niż dotąd zwracać winniśmy uwagę. Wprawdzie żalą się syoniści, że niektórzy żydzi odnoszą się do nich z nieufnością — jednakże leży w interesie naszego narodowego stanu posiadania, byśmy wszędzie dobitnie i nie dwuznacznie zaznaczyli nasze względem ruchu żydowskiego stanowisko.

Musimy sobie zupełnie jasno zdać z tego sprawę, jakie jest stanowisko wobec nas syonizmu, jakie jego następstwa, a w końcu, jakiem też odpowiadać mamy postępowaniem wobec wrogów, których niestety na łonie naszem bezwiednie wychowaliśmy i wychowujemy. Jasnem jest, że ruch syonistyczny, zarówno co do treści, jak też co do formy jest ruchem niezaprzeczenie wrogim, że zatem jego rozwój może wyjść tylko na szkodę naszą. Nie możemy łudzić się pobożnemi intencyami, jednostek żydowskich, chcących uchodzić za polaków i za dobrych synów ojczyzny, ale żądać musimy jasnego postawienia kwestyi żydowskiej, przez ogół polski.

Naszem zadaniem jest tedy nieustanna walka na polu oświatowem, ekonomicznem i politycznem z wszystkiem, co ma łączność ze syonizmem, czy też nacyonalizmem żydowskim. Ten ostatni, pod którego skrzydła chronią się często naiwni syoniści w dążeniach około uzyskania jakiejś popłatnej synekury, czy czegoś podobnego, mówiąc: „Nie jestem syonistą, ale „narodowym" żydem — stanowi dla nas niebezpieczeństwo nie miejsze niż syonizm sam.

Obowiązkiem narodowym każdego trzeźwo myślącego Polaka jest gdziekolwiek natrafia na ślad separatyzmu, przeciwdziałanie mu bezwzględne a skuteczne. Całe polskie społeczeństwo bez różnicy wyznania, powinno zawsze i wszędzie pamiętać o tem, że rugowanie syonizmu i żydostwa jest jego świętą powinnością. Czy w szkole, czy w życiu towarzyskiem stosujmy względem separatystów taktykę, o jaką najwidoczniej od lat kilku się dobijają. Dość już naszej zbytniej tolerancyi i łagodności względem nich, dość już naszej cierpliwości! Oglądnijmy się w czas, byśmy potem nie musieli wołać: „ Za późno!"

Jan Górnicki.

Mowa ojczysta.

Natura obdarza człowieka nietylko zmysłami, czyniąc go podobnym w tym względzie, do każdej innej żyjącej istoty, lecz daje mu nadto jedną z cech odrębnych zupełnie, rozum, władzę pojmowania, myślenia, zdawania sobie racyi z tego wszystkiego, co zmysły dostrzedz, odczuć potrafią. Zmysły w człowieku grają rolę narzędzia, któremzwykł się posługiwać nasz rozum.

Jednym zaś z donioślejszych przymiotów rozumnej natury ludzkiej jest możność ujawniania tego na zewnątrz, co dzieje się, przetwarza się w nas wewnątrz, udzielania drugim naszych myśli, zapatrywań, spostrzeżeń, idei, poglądów, uczuć itd. Środkiem ku temu nieodzownym będzie nie co innnego, tylko mowa nasza. Mowa ludzka zasługuje na uwagę nie dlatego tylko, że jest to coś zupełnie innego aniżeli inne rodzaje porozumiewania się u innych istot żyjących, lecz mowa ludzka to coś takiego co ustawicznie w nas się rozwija, udoskonala, a co najważniejsza, że Stwórca chcąc pokazać swoją nieskończoną doskonałość i wszechpotęgę, która najbardziej uwydatnia się w tej nieskończonej różnorodności, jaką dostrzegamy we wszechświecie, daje człowiekowi różnorodną też mowę, różnorodny sposób wyjawiania tej samej myśli, tych samych przekonań, tych samych zasad, uczuć i t. d.

Odrębność więc mowy ludzkiej, to nie zawsze wynik rozwoju, wyodrębnienia jakiegoś miejscowego, wpływu szczególnych okoliczności, lecz mowa odrębna różnych narodów, to dar można powiedzieć natury, to coś najświętszego, prawem naturalnem przez Stwórcę samego zagwarantowane i zastrzeżone.

Dlatego też zrozumieć łatwo, że krew ścina się w żyłach, kiedy słyszymy o prawach, przepisach tyrańskich, targających się na to, co jest wprost świątynią, czemś nietykalnem poprostu — na mowę ojczystą.

Nic też dziwnego, że kraje, narody poszczególne czczą i unieśmiertelniają pamięć tych osobników, którzy w jakikolwiek sposób potrafili położyć zasługi na tem polu, by mowę ojczystą podnieść, udoskonalić, rozwinąć, dać poznać światu całemu.

To są ogólno-ludzkie, podstawowe myśli, pojęcia w tym względzie. Język narodu jakiegoś to skarb przeto, który natura sama człowiekowi dała; pielęgnować ów dar, to obowiązek, to spuścizna największa każdego z nas.

Nam Polakom przedewszystkiem wiedzieć potrzeba, że mowa nasza ojczysta, to mur najpewniejszy, za którym kryje się, można powiedzieć, wolność osobista każdego; mowa ojczysta — to wielki skarb nasz, za który tysiące nawet dzieci małych (Września) życie własne chętnie nieśli w ofierze.

Zresztą nasza ojczysta mowa, to mowa tych wielkich mężów, poetów, pisarzy, historyków, bohaterów, przed którymi nie tylko nasze społeczeństwo, nasz naród, ale świat cały chyli z uwielbieniem głowy.

Mowa ojczysta nasza to mowa przecież Stanisławów, Wojciechów, Kazimierzów, Chrobrych, Jagiełłów, Batorych, Zygmuntów, Sobieskich, Zamojskich, Żółkiewskich, Czarneckich, Kościuszków, Pułaskich, Kołątajów, Staszyców, Konarskich, to mowa Koperników, Długoszów, Słowackich, Krasińskich, Mickiewiczów, Konopnickich, Sienkiewiczów i wielu, bardzo wielu innych, którzy zyskali sobie wszechświatową sławę, rozgłos i uznanie. Słowem mowa nasza ojczysta, to mowa wielkiego narodu, którego historya złotemi literami zapisana w dziejach ludzkości i świata całego.

To przecież mowa tego narodu, który nie zhańbił się nigdy okrucieństwem, grabieżą, łupiestwem.

Przeciwnie to mowa tego ludu, który słusznie jest zwany przedmurzem całego chrześcijaństwa, który wydał z pośród siebie twórców tej wielkiej Konstytucyi 3-go Maja, który na każdem polu wiedzy ludzkiej, mimo pęt i kajdan rządów zaborczych, nie daje się w niczem wyprzedzać do dnia dzisiejszego i który zawsze walczył i walczy za wolność naszą i waszą.

Świat uczony, literacko-artystyczy, schyla z uznaniem głowy dla Sienkiewiczów, Curie-Skłodowskich, Wyspiańskich, Matejków, Kossaków, Styków, Konopnickich, Modrzejewskich, Paderewskich i setek innych współczesnych nam, których przecież wychowała ta piękna polska mowa nasza. Dzisiaj choć utraciliśmy byt polityczny, mimo to jednak dobre i wielkie imię naszego narodu, każe choć po części liczyć się z nami nawet i prześladowcom naszym.

Pamiętać zatem musimy, że obowiązkiem każdego, w kimkolwiek krew polska płynie, było i zawsze będzie dbać o pielęgnowanie mowy ojczystej. Mianowicie rodzicom na sercu leżeć powinno owo uświadamianie dziatwy w tym kierunku; matki Polki zawsze i wszędzie odpowiedzą za dzieci, a źle czynią, jeżeli troskę o ten skarb najdroższy — mowę ojczystą, zwalać zechcą na drugich.

Myśli o gimnastyce kobiet.

W organie Związku Sokołów polskich w rzeszy niemieckiej wychodzącym w Poznaniu p. n. „Sokół“ znajdujemy następujące trafne uwagi.

Ludziom fizycznie słabym zbywa zazwyczaj silnej woli. Nie są zdolni rozkazywać mięśniom. Potrzeba dopiero osoby drugiej, która działa na nich chwilowo, dorywczo.

Gimnastyka pobudza wszystkie mięśnie do pracy — tak te — które podlegają, jak i te, które nie podlegają naszej woli. To jest przyczyną, że w miarę ćwiczeń gimnastycznych przybywa ćwiczącym ogólnej zręczności.

Spostrzedz możemy codziennie, że wyrobiony gimnastyk, choćby na pozór nikły — wytrwałym jest i działa fizycznie więcej — niż w normalnych warunkach człowiek z natury silny, ale nie gimnastyk — a to z tej przyczyny, że ostatniemu zbywa na opanowaniu wszystkich mięśni, czyli brak mu ogólnej zręczności.

Kobiety powinny z reguły pilnie gimnastykować, gdyż najwięcej zażywają bezruchu. A jeśli ruch jaki wykonują, jest on niedoskonały, gdyż nierozumna moda krępuje ich ruchy wszechstronnie. I tak przedewszystkiem największą przeszkodę ruchu stanowi sznurówka i podwiązka, które tamują regularny i pełny obieg krwi, nadto utrzymują stawy w sztywności. Jeśli pragniemy zdrowego i silnego pokolenia, natenczas w pierwszym rzędzie dbajmy o zdrowe, dobrze rozwinięte niewiasty. W przyszłych międzynarodowych bojach ten tylko naród wyjdzie zwycięzko, którego bojownicy zrodzą się ze zdrowych, silnych cieleśnie i duchowo matek.

Kształty kobiety: zdrowe, jędrne, plastyczne i pełne, są dowodem jej wydoskonalenia cielesnego. A w czemże innem leży piękno kobiety? Czy może w pięknych oczach i prawidłowych rysach twarzy? Hej! jak szybko znika krasa i świeżość lic, jak rychło więdnieją. Jeżeli jednak świeżością przeniknie całe ciało, jeżeli skóra zyska zdrową barwę, jeżeli cała istota zachowa prawidłową równomierność w budowie — oto krasa — oto piękno, które tchnąć będzie młodością trwałą do późnej starości. A piękno to nabyć można li tylko rozumnem ćwiczeniem cielesnem, rozumną gimnastyką. Zdrowie fizyczne żony, to największy skarb największy posag, jaki wnieść może w dom męża. Przeto pamiętaj niewiasto! Chcesz być do późnej starości piękną, pielęgnuj twe ciało rozumną gimnastyką. Czyń to, gdy jesteś wolną i wtedy, gdy będziesz matką pielęgnuj twe ciało, ale nie przekarmianiem się, nie łakociami i bielidłem, które często szkodę ci przynoszą na zdrowiu, ale umiarkowanym ruchem cielesnym.

Patrz, abyś prawidłowem tężeniem mięśni twoich posiadła ciało czyste, piękne, silne i zdrowe, które będzie krasą twojego życia. Powab i wspaniałość kształtów są najprzedniejszemi własnościami twoimy i te zyskasz właśnie rozumną gimnastyką. Ćwiczenia cielesne wykonuj codziennie na świeżem powietrzu, a w słońcu, łącznie z powietrzną kąpielą, lub w pokoju dobrze przewietrzonym. Wystrzegaj się zbytniego okrywania całego ciała w czasie tych ćwiczeń, wystarczy tyle odzieży, ile koniecznie jest potrzebnem, resztę ciała niechaj żar słoneczny i świeże powietrze rzeźbi zdrowiem i siłą.

Wiele uważać będzie taki strój za nieprzyzwoity i bezwstydny. Nie zważaj na ten sąd nierozumny. On to jest właśnie przekleństwem naszego wychowania.

Pomnij, że według niego nieprzyzwoitością jest nawet wtedy, jeśli dzieciak do szkoły pójdzie bez kołnierzyka lub krawatki.

Harmonia między rodzeństwem.

(Pogadanka).

Niejednokrotnie miałam sposobność zauważyć, jak w niektórych domach mało zwracają rodzice uwagi na rozwijanie w dzieciach uczucia rodzinnego, utrzymania harmonii między rodzeństwem, a szczególnie zachowanie się braciszków wobec siostrzyczek, wiele w takich rodzinach pozostawiało do życzenia. Nieraz, kiedy np. urodzi się dziewczynka, rodzice niezadowoleni; woleliby chłopaka. Wolno im to ostatecznie, ale nigdy nie powinni zdradzać takich niechęci w obecności chłopaków. „Poco też te dziewczęta się rodzą“ — mówi matka — „wolałabym sześciu chłopaków jak jedną córkę“. Doprawdy poco się ona urodziła — aby podobną krzywdę własnej robić córce?... A chłopaki słysząc zdania podobne, rosną z siostrami, uważają je za zbędne stworzenia, potrzebne tylko do wysługiwania się im, bywają potrącane i wiecznie oskarżane.

Widziałam w pewnym domu takie biedne dobre blade stworzonko, z zapłakanemi oczętami siedzące nad zadaniem rachunkowem. Z prośbą



Wśród bagien.

o pomoc zwróciła się do starszego brata; wyśmiał się z jej „mądrości“ i poszedł jeździć na kółkach, wpadł w błoto, a następnie żądał, by mu siostra oczyściła ubranie! Matka słyszała prośbę córki i żądanie brata; nie uznała jednak za stosowne paniczowi wyjaśnić sytuacyę.

Widziałam na ulicy bawiące się dzieci; chłopak potrącił dziewczynkę, upadła i rozbiła sobie „troszkę“ głowę. Nie mogłam się wstrzymać i chwyciłam go za rękę: „Jak można tak z dziewczynką postępować?‘ — powiedziałam. — „A tobie co do tego? to moja siostra“ — brzmiała zuchwała odpowiedź. Tak? to tylko jego siostra... więc wolno!

Pamiętajcie rodzice, że z takich brutalnych braci wyrastają złe chłopaki, bez serca młodzieńcy i źli mężowie. Bo jeśli który dla siostry nie ma miłych względów, to i dla żony nie będzie dobrym.

Tu przypomina mi się prawdziwe zdarzenie, które opowiem i co też przeczytać mogą dzieci, których, w każdym razie wszak dobre jeszcze serduszka, zrozumieją, jak miło jest być w zgodzie i jak potrzebą jest dla serca miłować rodzinę.

Pewna mateczka, układając Jerzyka do snu, powiedziała całując go na dobranoć: „Jeśli będziesz grzeczny i dobrze się uczyć będziesz, to dostaniesz wkrótce braciszka lub siostrzyczkę“. Jerzyk jakoś zaspał nazajutrz i musiał bardzo się spieszyć, ażeby na czas zdążyć do szkoły. Zapomniał też zupełnie, co mu mama powiedziała. Gdy wracał ze szkoły — z powagą właściwą studentom klasy... — a—b—c—, przypomniał sobie naraz jej słowa — i — rozmyślając o tem począł grzebać czysto obutą nóżką w błocie ...ale tak był zamyślonym! Robił tak zwykle, kiedy mu poważne myśli płynęły po małej głowinie, a że te nawiedzały go najczęściej po... deszczu, to już on temu nie był

winien. Szczęście, że umiał ślicznie oczyścić buciki, chociaż nie bardzo lubił to zajęcie — on! student pierwszej klasy!

„Co też byłoby lepszem“ — zastanawiał się, — „brat czy siostra? Z bratem mógłbym się bawić w żołnierzy, a jako starszy, byłbym zawsze kapitanem, ale — ostatecznie musiałbym się z nim ze wszystkiem dzielić, np. dostawszy dwa jabłka musiałbym mu dać jedno z nich, a mnieby się tylko jedno dostało“. Bardzo był dumnym, że umiał już podobny rachunek rozwiązać — wszak dopiero tydzień jak chodził do szkoły! — „A znowu jak braciszek coś zrobi? jeszcze gotów powiedzieć: Jerzyk to zrobił, mamusia powiada, że nie można kłócić się z braciszkiem, no — to w takim razie ktoby dostał bicie? Ja? o nie — nie“ — mówił energicznie, „ani mi się śni — nie chcę brata! Z siostrą już inaczej. Po pierwsze nie potrzebuję jej nic dawać, bo dziewczęta z pewnością jedzą co innego jak chłopcy! A potem, — tu oczęta jego zajaśniały radością i — już oboma nogami wlazł w błoto — „a potem siostra mi będzie trzewiki czyścić — tak jak to robi siostra Janka, ach to będzie dobrze! I moje zabawki zawsze poskłada, na to są przecież dziewczęta. Tak! o tak, wolę siostrę“.

Pogwizdując z zadowoleniem wpadł do domu, zatrzaskując drzwi za sobą. Ale — oh! wcale niedelikatnie ciocia Mania potrząsnęła jego rękawem: „Będziesz ty cicho sm.... a ty znowu co z trzewikami zrobiłeś? Zdejm je natychmiast i cicho mi się zachowaj i grzecznym bądź! Teraz mamy w domu taką maleńką dziewczynkę, której obudzić nie wolno, bo będzie krzyczeć. Możesz cichutko pójść i popatrzeć na twoją siostrzyczkę“.

Z otwartą buzią wpatrzył się Jerzyk na ciocię i zaczął wycierać buciki. „Takie historye z tą siostrą!“ myślał „nawet ruszyć się nie można; mogła była zostać sobie tam skąd przyszła!“ Ale ciekawym był przecie i podreptał na palcach do pokoju, gdzie stał wózek. „Co to jest? to same poduszki i kołderki... Ale — coś tam się rusza... o! o! twarzyczka! taka malutka! a temi ślicznemi rączusiami przecież ona nie będzie mogła wyczyścić mi porządnie bucików?“ Wszyscy obecni roześmieli się, a mama pouczyła Jerzyka, że wszyscy ludzie są tacy maleńcy, gdy na świat przychodzą, tak jak zwierzątka i rośliny i dopiero wszystko pod błogosławieństwem Boga rozwija się i rośnie.

Sześć lat minęło: Jerzyk wyrósł na silnego młodzieniaszka, dla rodziców był pociechą bo uczył się bardzo pilnie. Dzisiaj oto cieszył się bardzo; miał odprowadzić siostrzyczkę pierwszy raz do szkoły. Już to zapatrywania jego co do tej siostrzyczki z biegem lat uległy zupełnej zmianie. Delikatna i malutka była jeszcze zawsze Dziusia — nie spieszyła się wcale z „rośnięciem“. Często Jerzyk — kiedy jeszcze w małem swojem łóżeczku leżała, niecierpliwie pytał: „Słuchaj, kiedyż ty już raz wyrośniesz?“ Czy pytając o to miał na myśli czyszczenie bucików? Nie sądzę. Pojął on już dawno, że takie malutkie miłe stworzonko pieścić tylko by się chciało i czuwać nad niem. A kiedy wcale nieporządaną pracę około swoich bucików wypełnił, wkładał na dwa palce miniaturowe pantofelki „Dziusi“ i z wielką przyjemnością obrabiał je dużą szczotką. A jak to maleństwo z jego „mądrości“ korzystało. Miał to przeświadczenie, że musiał przecie być bardzo „uczonym“, kiedy ona z takiem zajęciem, z rozszerzonemi oczętami słuchała jego opowiadań. Kiedy odrobił swoje zadania, brał książkę z bajkami, ażeby módz jej opowiedzieć wierszyki, które tak lubiła. Nie wierzycie dzieci?... A jednak tak było; znałam go dobrze, tego złotego chłopaka. Bawił się też z nią, biegał i różne wymyślał dla niej rozrywki, uważał przytem jednak pilnie by tej jego wiewiórce, jak ją nazywał — nic złego się nie stało.

Kiedy miał kilka centów, zaraz kupił jej coś dobrego, ciastka, czy owoce, twierdził stanowczo, że dziewczątka, szczególnie takie delikatne jak jego siostrzyczka, muszą mieć inne lepsze pożywienie, jak tacy silni, jak on, chłopacy. Dziwił się też jakim sposobem taki duży kawałek chleba z masłem albo wielkie jabłko znika w tej maleńkiej buzi.

Pewnego dnia Jerzyk znowu zaspał; — już to wstawanie rano było mu zawsze tak nieprzyjemnem, jak układanie się do snu w wieczór, to już była jego słaba strona. Ale oto wpadła Diuszka i obudziła go, nim jeszcze mamusia i tatuś spostrzegli; jeśli się pospieszy, może na czas usiąść do śniadania. „Ach na miłość Boga!“ wołał Jerzyk, zrywając się, „wczoraj nie oczyściłem sobie bucików, chciałem dziś rano wstać i jak na złość tak zaspałem!“ „Nie rób sobie nic z tego“, śmiała się Dziunia, „ja ci wyczyściłam buciki!“ — dodała z dumą. „Co?“ — dziwił się Jerzyk — „temi twemi rączynami?“ — „Cóż ty sobie myślisz?“ — odpowiedziała obrażona, „przecież nie każdy może mieć takie duże jak ty ręce, czyż już małemi nic zrobić nie można? Główna rzecz w tem, żeby mieć duży rozum. Tak tatuś mówi — nie słyszałeś?“ — „Masz słuszność, mała, dziękuję ci też ślicznie za wyczyszczenie bucików, ale żebyś mi tego więcej nie robiła, właśnie, taka ciężka robota wcale nie wypada dla twego wielkiego rozumu!“ — mówił ubawiony. Wziął słodkie to stworzenie na ręce



Przyjaciółka papugi.

i całował serdecznie. Ale to słodkie stworzenie poczęło krzyczeć w niebogłosy broniąc mu się „Co ty mi zakazujesz to robić, właśnie, że będę, jestem już dość dużą i mam siłę. Patrz — mówiła zaciskając piąstki i w podwójnym zamiarze zarzucając mu je na szyję, śmiejąc się i płacząc zarazem szczebiotała: — „ja tak chcę tak to sobie myślałam, zrobię Jerzykowi przyjemność, on tak długo siedzi w wieczór nad książkami, wyczyszczę mu trzewiki, żeby za to mógł dłużej spać rano, a ty taki nieznośny i nie chcesz... Idź zazdrośniku powiem mamie“. I znowu zaczęła chlipać

a potem krzyczeć wyrywając się od niego. — „Ależ Dziusiu, złotko moje, bądźże cicho, rób już co chcesz, ja cię przecież tak kocham i nie chcę, żebyś swoje paluszki dla mnie męczyła. No cicho, opowiem ci w wieczór bajeczkę ładną i tak będę cię strzedz zawsze, żeby ci nikt nic złego nie uczynił. No, nie gniewasz się, malutka?“ Rozśmiała się i wpakowała swoje „delikatne“ paluszki wcale nie delikatnie w jego bujną czuprynę. „Widzisz jak silną jestem?“ Krzyknął uznając prawdziwość jej dowodzenia. „Wierzę już wierzę i wiem teraz jak silną jesteś!“ Pomyślał zaś, że dziewczęta to bardzo szczególne, ale dobre słodkie stworzenia; krzyczą wprawdzie czasem za głośno, targając braci rozpieszczających je za włosy — ale kochać je trzeba, a przytem doprawdy doskonale umieją czyścić buciki. Pokój był zawarty, a oba dziecinne serca czuły że nie obeszłyby się bez siebie i że jedno za drugie w ogień i w wodę by poszło.

Tak kochających się rodzeństw widziałam już też wiele i pewną jestem, że przy dobrej chęci i woli — i wy ich poznacie jeszcze więcej...

MODA.

W Paryżu wody opadły, miasto zaczyna przybierać swój normalny wygląd, a — lekkomyślne mieszkanki, elegantki, pozbywszy się paniki, rozmyślają naturalnie w pierwszym rzędzie nad modami wiosennemi. Pragną nowości, koniecznie nowości. „Niech będzie nowość“ — powiedział pewien dowcipny, artysta — krawiec — i — przewróciwszy pakę, w którą składał żurnale od lat dwudziestu, wyjął ten, który spoczywał dotychczas na spodzie... Przyglądał mu się — długo, gryzł kozią bródkę hiszpańską modą zapuszczoną, piętnastu telefonistek bólu głowy i nerwozy nabawił — piętnastu fabrykom chemicznych kolorów wysłał polecenie skombinowania mieszaniny nowych farb, i — wyczerpany, wypiwszy parę kieliszków koniaku prawdziwej marki pani „le Coque“ — uspokoił się na razie. Damy drżały z niecierpliwości, wiedząc z doświadczenia, że właśnie ów artysta jest w pomysłach niewyczerpany, a pewnego dnia jakby się umówiły, już od rana zaczęły jego salony odwiedzać. Każda pragnęła być pierwszą, ażeby dowiedzieć się wielkich tajemnic. Gładki, uperfumowany, ubrylantowany Francuz, nie chciał jednak żadnej niechęci ściągnąć dla swojej osoby i oznaczył dzień i godzinę, kiedy to, w przepysznie urządzonym jego salonie, odbędzie się wykład i przy dźwiękach kapeli ilustrowanie tegorocznych mód za pomocą kinematografu... Wstęp — — dziesięć franków! Przez cały tydzień roiło się w jego salonach, a on podobno zarobił milionik, i — syt sławy i chwały, pod dyskrecyą nocy studyował dalej żurnal — z przed lat dwudziestu! W końcu zanotował w swym regestrze: 1. Ponieważ posiada kroje z tego czasu, przeto nie potrzebuje wysilać pracy i marnować czasu: a więc wiosenne żakiety dostaną formy jaskółczych ogonów, — fraczków, luźnych półkrótkich saczków itd., to co było przed dwudziestu laty. — 2. Ponieważ nienawidzi blondynek — (trzecia żona jego była blondynką, a chociaż wszystko w świecie postępuje i cywilizuje się, ona zupełnie podobną była do dwóch poprzedniczek), a więc — najmodniejszym kolorem będzie — barwa... zgniłych liści jesiennych, w którym to kolorze wiadoma rzecz, blondynkom nie do twarzy. Przynajmniej w ten sposób zemści się na niej! Ale... tu zastanowił się: jeśli włosy ufarbuje? Ciemnym szatynkom ślicznie w nim będzie, ale ponieważ obrócz innych zalet posiadał dobre serce, przeto uspokoił się, bo zarobi przynajmniej na tem farbiarz włosów, a przyjaciel jego od serca. A więc górą zgniłe liście! 3. Kolor szafirowy ze złotym odcieniem kombinacya druga (najłatwiejsza chemiczna przyprawa — najtańszy materyał — a więc zysk pewny). — Następnie czarny aksamit niezbędny na wiosnę do nowych kapeluszy (posiada go całe stosy — grzech, by się to zmarnowało). Rezultat ostateczny: czarny kostyum, z żakietem zakończonym w kształcie jaskółczych złożonych skrzydeł, z podszewką ciężką atłasową koloru zgniłych liści, kapelusz, którego kresa odpowiada barwie podszewki, duży, żywcem wykrojony ze starego obrazu „Van Dycka“, opasany czarnym aksamitem, z pękiem piór czarnych z jednej strony, z drugiej podpięty garścią ślicznie imitowanych jesiennych liści. Drugi model: popielaty „beigowy“, podszewka szafirowo złocista, kapelusz z kresami w dół opuszczonemi, szafirowy, z popielatemi egretami i złotemi ozdobami. Trzeci: czarny krepowy, podszewka różowa, kapelusz — toczek pokryty cały różami osłoniętemi czarnym tiulem w srebrne muszki, no itd. Rzeczą najważniejszą, ażeby kolor kapelusza odpowiadał koniecznie kolorowi podszewki żakietu i żeby panie umiały w ten sposób chociażby narażone na przeziębienie (to nic, biedni doktorzy zarobią) nosić niezapięte żakiety — ażeby koniecznie podszewka się uwidoczniała; na tę ostatnią mianowicie powinny być wszystkich oczy zwrocone.



Niewygodna siedziba.

Omal nie zapomniałem o ważnej rzeczy mody wiosennej! Trzewiki powinny być — aksamitne; pantofelki — czarne, popielate lub bronzowe, bardzo praktyczne, szczególniej na błoto i kurz. Do kompletu: torebka w kształcie piórnika studenckiego z rzemyczkami, zawierająca potrzebne artykuły; chusteczkę, puder, puszek, pomadkę do ust, sakiewkę z pieniędzmi i — przyrząd z papryką do zasypania oczu rabusiowi. Chodzi o to — żeby użyć tego ostatniego umiejętnie i w czas, zanim opryszek wyrwie torebkę, by się z nią ulotnić...

WIEŻE LODOWE W PERSYI.

Chcąc treściwie scharakteryzować Persyę, której obszar równa się mniej więcej Francyi i Anglii, można powiedzieć, że cały ten kraj składa się z rajskich ogrodów, jakie znamy z opisów poetów wschodnich, Hafiza i Sadiego, a poniekąd i z Goethego „Zachodnio-wschodniego Dywanu“, poprzedzielanych okropnemi pustyniami skał, piasku i soli. Pomimo wysokich łańcuchów gór, nigdy tu prawie deszcz nie pada dlatego, że wyżyny są bezleśne i nagie, a na sztucznem nawodnieniu także zbywa zupełnie. Rzeki trącą swoje wody nie dosięgnąwszy morza i giną w piaskach pustyń lub w gorzkich i słonych błotach. Doda-

jmy do tego najstraszniejsze przeciwieństwa temperatury. W niektórych okolicach ludzie giną od mrozu, w innych od upału. Jeden pas ziemi, nad odnogą Perską, jest przez większą część roku rozpalony, jak piec ognisty, gdy nad morzem Kaspijskiem, przez 5 miesięcy w roku, panują straszne zimna. Pomiędzy temi dwoma pasami znajdują się oazy, gdzie pośród zielonej murawy, ciągną się pola zbożowe lub prześliczne ogrody, pełne róż, hyacyntów, lilij i innych kwiatów.

W pasie zimnym Persyi, zwłaszcza w okolicach Aschabadu, spotykamy osobliwość, w postaci wież lodowych, szeroko osadzonych na ziemi, a zwężających się spiczasto ku górze. Są one ułożone z warstw lodu, który tu się gromadzi w znacznych ilościach. W ścianach zewnętrznych wież są wyrąbane otwory, prowadzące do środka gmachu lodowego, gdzie znajdujemy przestrzeń pustą, rodzaj wielkiej sali, w której gromadzą się Persowie, ku uczczeniu bóstwa, zmieniającego, według ich mniemania, chmury w wodę, a wodę w lód. Persowie bowiem uosabiają przyrodę, jej zjawiska uważają za skutki działania rozmaitych bóstw: wody, ognia itp. Mamy tu do czynienia z t. zw. animizmem, to jest z wierzeniami, według których cała przyroda jest ożywiona niewidzialnemi a potężnemi duchami. One to wywołują grzmoty i pioruny, rzucając z niebios na ziemię chmury w postaci deszczów, zamrażają wodę, rozniecają ogień, wywołują roślinność itp. Ślady tych wierzeń spotykamy również u ludów europejskich, zwłaszcza w baśniach i mitach.

Medale i medaliki religijne.

Numizmatyka kościelna zyskuje coraz więcej przyjaciół i nabiera coraz większego znaczenia. Ta gałąź nauki zajmuje się medalami i medalikami religijnemi, oraz tem wszystkiem, co się z niemi wiąże. Chociaż medalik religijny, swojem przeznaczeniem, materyą i formą, stoi prawie w zupełnem przeciwieństwie do monety, to jednak należy mu się podobne traktowanie, jak monecie lub medalowi historycznemu, choćby już tylko z tych względów, że przechowuje nam często, podobnie jak medal historyczny, pamięć o jakiem zdarzeniu, lub jest niezbitym dowodem pobożności naszego ludu, szczerze przywiązanego do wiary przodków i kraju ojczystego, a nadto przechowuje ciekawe podania i wierzenia. Istnieją także medaliki, które ze względu wykonania artystycznego, zasługują na uwagę.

Celem i przeznaczeniem monety jest wędrówka z ręki do ręki, gdy wartość idealna medalika religijnego leży właśnie w jak najdłuższem przechowaniu u tego samego właściciela. Medalik religijny jest niejako ruchomym ołtarzykiem, przypominającym noszone na piersiach przez rycerzy w dawnych czasach ryngrafy. U ludu ma on jeszcze odrębne znaczenie, nie dogmatyczne wprawdzie, ale tradycyjne, przez przypisywanie mu mocy ochrony od wszelkiego rodzaju chorób, szkód w polu i inwentarzu i t. p.

Moneta jest zwykle, ze względów swego przeznaczenia, okrągłą; medalik religijny bywa w kształtach najrozmaitszy. Najczęściej spotykamy medaliki owalne, wycięte w formie krzyżów, gwiazd, tarcz i t. p.; rzadziej spotykamy sercowate, prostokątne i okrągłe. Wszystkie prawie medaliki religijne, a także większość medalów, posiadają uszka do przewlekania tasiemki lub sznureczka.

Metal monety jest przeciętnie szlachetny, gdy medaliki religijne robione są zwykle z mosiądzu, rzadziej z miedzi; w ostatnich czasach zaczęto je wyrabiać z aluminium. W złocie i srebrze spotykamy tylko medaliki dawnego bicia — dzisiaj rzadko. Oprócz metali wymienionych, używano jeszcze do ich wyrobu cyny, ołowiu, niklu, żelaza, szkła lub kombinowanych aliażów. Wykonywane są podobnie, jak monety, t. j. przez wybicie stemplem odpowiednio rytowanym; bywają także odlewane, zwłaszcza większe dawniejsze.

Medale i medaliki podzielić można na dwie główne grupy, t. j. rdzennie religijną, obejmującą także medale, które przeznaczone były do noszenia na piersiach jako ozdoba lub talizman i historyczno-religijną, obejmującą te, które miały przechować potomności pamięć o więcej lub mniej ważnem zdarzeniu. Do tej grupy należą także te, które łączą te dwa cele razem. Pierwsze, zwykle mniejsze, dopiero w nowszych czasach się rozpowszechniły, osobliwie w drugiej połowie XIX w.; drugie, mające taki sam cel, jak medale historyczne, zwykle większe, często w szlachetnym metalu bite lub lane, pochodzą niekiedy jeszcze z czasów dawnej Polski. Tu należą także medale religijno-historyczne i krzyże pamiątkowe.

Chcąc się zastanowić nad tem, co podnosi wartość numizmatyczną medalów religijnych, musimy przyjąć te same okoliczności, co u monet i medalów świeckich, t. j. przedewszystkiem rzadkość, spowodowaną wybiciem, albo małej ilości egzemplarzy, lub większej lecz dawno; dalej piękność wykonania; wreszcie zdarzenie, na pa-



Odpoczynek.

miątkę którego medal został wybity. Największą tedy wartość mają wszystkie oryginalne, dawne koronatki, t. j. medale lub medaliki, bite na pamiątkę koronacyi obrazów Matki Bożej; dalej stare medale, bite na cześć św. Kazimierza, Stanisława Kostki. Z nowszych, po wyłączeniu rzadkości, większą wartość posiadają bite z okazyi jakiegoś zdarzenia, wykonane z pewnym smakiem artystycznym, lub dzieła słynnych ze swych prac rytowników, względnie medalierów. Mniejszą wartość mają wszystkie te, które są zwyczajnym fabrykatem, z nieudolnym wizerunkiem i błędnym napisem. A takich mamy, niestety, najwięcej. Dawniejsze medale religijne pochodzą często

z mennic królewskich lub są wyrobem włoskim; nowsze zaś są wyrobu niemieckiego, francuskiego lub polskiego.

Najstarszym znanym polskim medalem religijnym jest medal srebrny, odlany na pamiątkę wybudowania kościoła św. Piotra (Jezuitów) w Krakowie, za panowania Zygmunta III w r. 1597. W następnych wiekach, ilość medalów religijnych stale wzrastała, tak, że w nowszych czasach doszła do kilku tysięcy sztuk.

Rudolf Mękicki.

Niebezpieczeństwo elektryczności.

W dzisiejszych czasach, kiedy siła prądu elektrycznego porusza w jednem mieście setki tramwajów. oświetla ulice i mieszkania, pędzi potężne maszyny, przenosi z dowolnej odległości fale dźwiękowe za pomocą telefonów i spełnia cały szereg najżywotniejszych funkcyi, koniecznem jest zapoznać się z niebezpieczeństwami prądu, od których każdy powinien umieć się w danym razie uchronić.

Siła mechaniczna, światło i ciepło — oto najważniejsze przejawy energii elektrycznej. Tym przejawom odpowiadają i skutki patologiczne w razie, jeżeli organizm ludzki lub zwierzęcy ulegnie zbyt silnemu działaniu prądu. W mieszkaniach przeważna liczba nieszczęśliwych wypadków, wywołana jest dotknięciem źle izolowanej lampki żarowej albo drutu przewodowego; w fabrykach niebezpieczeństwo leży w dotknięciu metalowych części maszyn, biegunów, kabli itp. Przy tych zetknięciach pierwszorzędną rolę odgrywa sytuacya, w jakiej się dany osobnik znajduje. Jeżeli np. stoi na dywanie lub płycie szklanej, to chociaż prąd przenika jego ciało, ale nie znajdując ujścia, nie wywiera szkodliwego wpływu na organizm. Inaczej rzecz się ma, o ile nastąpi połączenie z ziemią: wtedy poważna kontuzya, a często i śmierć jest nieunikniona.

Dla zlustrowania przytoczymi kilka wypadków charakterystycznych. Pewna pokojówka, kąpiąc się w metalowej wannie, dotknęła ręką postumentu lampy elektrycznej. Drut, wiodący do lampy, nie był dostatecznie izolowany i prąd, przeszedłszy przez ciało dziewczyny, będącej w zetknięciu z metalową wanną, połączył się za pomocą rury od wody ściekowej z ziemią i wywołał śmierć dziewczyny.

Mniej znane są wypadki. kiedy niektóre przedmioty metalowe przypadkowo się „naelektryzują“ i pociągają przez to nieszczęśliwe wypadki. Tak np. zdarzyło się w Szwajcaryi, że metalowe sztachety od ogrodu naelektryzowały się wskutek zetknięcia z przewodem elektrycznym podziemnym, który tamtędy przeprowadzono w celach oświetlenia. W innym wypadku uliczna skrzynka do listów stała się elektryczną od gwoździa, który swym końcem dotykał przewodu, przeprowadzonego w ścianie domu.

Jak widzimy, oprócz wypadków typowych, jak t. zw. „krótkie połączenie, bezpośrednie dotknięcie, itd.“, zdarza się cały szereg mniej lub więcej przykrych niespodzianek, którym zapobiedz jest bardzo trudno. Ale w zasadzie należy wiedzieć, że prąd stały jest wogóle niebezpieczniejszy od zmiennego, co się zaś tyczy siły i napięcia prądu, to najważniejszym czynnikiem są chwilowe warunki, w których się dany osobnik znajduje. Tak np. delikatna i miękka skóra twarzy jest bez porównania wrażliwsza (posiada większy opór elektryczy). Niemniej ważną jest okoliczność, jakie organa zostaną przez prąd zaatakowane i w jakiej chwili: oczy w chwili wdychania czy wypuszczania powietrza z płuc. Charakterystyczny bardzo jest czynnik psychiczny, gdyż w związku z nim znajduje się działalność serca. Nagłe przerażenie w chwili zetknięcia się z prądem utrudnia niepomiernie ratunek. Jeżeli zaś wskutek zabiegów lekarskich możliwe jest, chociaż mechanicznie, działalność serca przywrócić, to mamy do czynienia ze znanym wypadkiem t. zw. „odżycia“, pomimo chwilowego porażenia,

Wreszcie od pewnego czasu zwrócono szczególną uwagę na działanie elektryczności atmosferycznej. Znana katastrofa z balonem Zeppelina pod Echterdingen została wywołana tylko przez działanie niezliczonych fal elektrycznych, które, jeśli się tak wyrazić można, świat cały opasują, a podczas burzy ze szczególniejszą występują siłą.

Jak widzimy, pole do studyów w tej materyi jest równie wielkie, jak trudne. Jest to wspólna dziedzina medycyny i techniki, które, badając te zjawiska każda metodą własną, nieocenione usługi jedna drugiej wyświadczyć mogą.

Kauczuk.

Z pomiędzy licznych produktów zwierzęcych i roślinnych, których nam dostarczyły Indye po znalezieniu drogi morskiej do nich, Ameryka zaś po jej odkryciu, ważne miejsce zajmuje kauczuk, zwany także gumą elastyczną, otrzymywany z soków mlecznych pewnych roślin. Pierwszą wiadomość o nim miał przywieźć do Europy Kolumb, który widział mieszkańców wyspy Haiti, bawiących się piłkami elastycznemi. Torquemada, w połowie XVI w., zawiadomił, że mieszkańcy Meksyku wyrabiają z soku pewnego drzewa piłki do gry, kapelusze i ubrania nieprzemakalne. Ale dopiero badacz francuski, de la Condamine, w r. 1735, dostarczył pewnych wiadomości o kauczku i dał mu nazwę, którą po dziś nosi.

Kauczuk ma szerokie zastosownie w przemyśle, dlatego zapotrzebowanie tego wytworu roślinnego wciąż wzrasta. Obecnie świat cywilizowany spotrzebowuje milion centnarów kauczuku rocznie. Dostarczają go: Ameryka, Azya i Afryka. Z Ameryki południowej otrzymujemy najlepsze gatunki kauczuku. W Azyi wydajność kauczuku znacznie się zmniejszyła, a to z powodu rababunkowego sposobu obchodzenia się z drzewami, dostarczającemi kauczuku. Natomiast coraz więcej przysyła kauczuku Afryka, głównie zaś Wybrzeże Złote i Kraj Kongo. Wydobywa się tam kauczuk z rozmaitych drzew i krzewów, najwięcej z drzewa *kicksia*, a to w ten sposób. Krajowcy nacinają pnie tego drzewa, wyciekający zaś z nich płyn mleczny zbierają w naczynia gliniane. Kauczuk w tym płynie tworzy coś podobnego do kożucha w mleku krowiem. Po niejakim czasie, kauczuk tworzy małe kulki na powierzchni płynu, jak gdyby śmietanowe. Ażeby zupełnie wydzielić kauczuk z płynu mlecznego, krajowcy dolewają soku kwaśnego z rośliny *bossanga*. Ścięty kauczuk zawiera kawałki kory, drzewa i łykowate włókna drzewne. Przymieszki te krajowcy usuwają kładąc kauczuk na wałkach drewnianych i zbijając go z całej siły drewnianemi obuchami; podczas tej czynności, przymieszki odłączają się od masy elastycznej.

Kauczuk czysty przedstawia się w postaci prawie bezbarwnej, półprzezroczystej, elastycznej masy; pod wpływem zimna, traci elastyczność, lecz nie kruszeje; gorąca woda zmiękcza go; kwasy stężone nadgryzają go, rozcieńczone nie; w wodzie nie rozpuszcza się, ale w siarku węgla; łączy się z siarką, zmieniając się na kauczuk wulkanizowany; jeżeli dodamy dużo siarki, w takim razie przybiera mocno czarną barwę, traci zupełnie rozciągliwość i zowie się wtedy ebonitem; słabo wulkanizowany staje się twardszym, oporniejszym na kwasy, nie rozpuszcza się w siarku węgla, nie twardnieje pod wpływem zimna i nie tak mięknie przy ogrzaniu.

Nie wulkanizowanego kauczuku używają jako gumy do wycierania plam ołówkowych, do wyrobu rur, płyt, płócień nieprzemakalnych; ze słabo wulkanizowanego wyrabiają kalosze, walce do maszyn drukarskich, wyżymaczki, rury do wody i gazu; z ebonitu przygotowują grzebienie, sztuczne fiszbiny, oprawy do binokli, części niektórych przyrządów lekarskich itp. W celu uczynienia go tańszym, dodają do niego nieraz aż 80 proc. różnych proszków, jak: kreda, gips, magnezya, spat ciężki.

Zastosowanie jaj strusich do celów praktycznych.

Struś nie należy do ptaków zmyślnych; głupotę swoją posuwa do tego stopnia, iż gdy widzi ucieczkę daremną, wsuwa głowę w piasek w przekonaniu, że gdy wroga swego nie widzi, to i wróg go nie zobaczy. Natomiast okazuje wielką troskliwość o swoje potomstwo. Gniazdo strusia jest poprostu dołkiem, wygrzebanym w piasku, do którego dwie, a nawet cztery samice, należące do jednego samca, składają swe jaja wspólnie. Jaj tych bywa 15 do 20, ale znajdowano i podwójną ich liczbę, oraz kilka jeszcze jaj około gniazda, zniesionych podczas wysiadywania, trwającego mniej więcej dni 50. Wysiadywaniem zajmuje się wyłącznie samiec. Jeżeli jest zmuszony opuścić na czas jakiś gniazdo, wówczas przykrywa jaja piaskiem.

Wielkość jaja strusiego dorównywa dwudziestu czterem jajom kurzym. Ongi jaja strusie przywożono do Europy jako osobliwość. Oprawione w złoto lub srebro, służyły jako ozdoba mieszkań monarchów, książąt i bogaczy. Obecnie wyrabiają z nich sprzęty użytkowe, jak: zegary, lampy, puszki do kawy, herbaty lub cukru itp.

Jajo strusie przetworzone na zegar, służy zarazem za lampę nocną. Oprawione w srebro, umieszczone jest na podstawce, zawierającej mechanizm zegarowy, który posuwa wskazówkę dokoła jaja. Na zewnętrznej stronie skorupy wypisane są cyfry godzinowe, a wewnątrz znajduje się

lampka elektryczna. Podstawka z zegarem wsparta jest na misternych kolumienkach alabastrowych, wystrzelających z postumentu srebrnego. Dalej wytworzono z jaja strusiego puszkę do kawy lub herbaty, które ozdobione srebrnemi ornamentami, jest ujęte srebrną, o trzech nóżkach podstawą. Są to, jak łatwo się domyśleć, sprzęty kosztowne, na które tylko więcej zamożni pozwolić sobie mogą.

TO I OWO.

Ze sfer, które się nigdy nie nudzą.

Arystokratyczne sfery londyńskie nazywają „światem, który się nigdy nie nudzi". Sfery te istotnie wciąż wymyślają sobie nowe rozrywki, te przez czas pewien są modnemi, dopóki ich nie usunie nowy jaki wymysł. Najświeższą nowością z dziedziny tych rozrywek jest wznoszenie się w powietrze i pływanie w Klubie Pływackim Kaftona, znajdującym się w dzielnicy Hacknej, położonej w północno-wschodniej części Londynu. Do klubu tego należą same panie, one też wyłącznie uprawiają nowy sport, wymagający siły, zręczności wdzięku. Klub posiada olbrzymi basen napełniony modą. Z jednej strony basenu znajdują się wysoko zawieszone trapezy. Uczestniczki klubu, przyodziane w strój pływacki, tj. w trykoty, ujmują w ręce przyrząd do latania, a następnie rzucają się z trapezu w powietrze. Przyrząd lotawcowy utrzymuje je i unosi czas pewien w powietrzu, poczem aeronautka spada do basenu i usiłuje dopłynąć do drugiego jego końca, trzymając ów przyrząd nad głową. Te panie, które najwyżej się wznoszą, najdłużej utrzymują się w powietrzu i najprędzej dopływają do celu, otrzymują umówioną nagrodę. Jest to zatem rozrywka zdrowa, hartuje ciało, wyrabia siłę i sprężystość.

DLA NASZEJ DZIATWY.

Dobra córeczka.

Mama raz, gdy wyjeżdżała,
Tak córeczkę zapytała:
„Co ci z miasta przywieźć, duszko,
Czy czerwone chcesz jabłuszko?
Czy wolałabyś ciasteczek?
Albo dla lalki wstążeczek?
Powiedz, co chcesz, Zosiu miła?"
„By mamusia powróciła
Jak najprędzej!" — dziewczę powie,
A czuć radość w każdem słowie.
O! nad ciastka, nad wstążeczki,
Słodszy uścisk jest mateczki!

Jak nie kochać!

Jak nie kochać, o mój Boże,
Tej prześlicznej polskiej ziemi,
Tych pól strojnych w złote zboże,
Co nas karmi ziarny swemi?
Jak nie kochać tych wód jasnych, —
Co się wiją w ciemnych wstęgach,
Tych chat wiejskich, — niskich — ciasnych,
I lud w białych tych siermięgach?

Jak nie kochać tych powieści,
O Kościuszce — Racławicach...
Wspomnień tych o ojców cześci,
Kiedy płynie łza po licach?
Jak nie kochać lasów gwaru,
Śpiewu ptasząt — dzwonów grania,
Gdy w tem wszystkiem tyle czaru,
Że lgnie serce do kochania!

Jak nie kochać pieśni dawnych,
O żołnierzu i tułaczu,
Miejsc tych, z wspomnień wielkich sławnych,
Gdzie dziś szemrzą jęki płaczu!
Jak nie kochać każdej chwili,
Z dziejów kraju ojczystego,
Gdy co kartkę się odchyli,
Błyśnie zawsze coś pięknego!...

Muszę kochać bom z tej ziemi,
Co nad wszystkie najpiękniejsza,
Co słynęła czyny swemi —
I z cnót była najjaśniejsza...
Muszę kochać — bo mi matka
Miłość wielką w serce wlała,
Więc już zawsze — do ostatka
Będę Polskę swą kochała!

Jadwiga z Z. Strokowa.

Maurice Leblanc.

Arseniusz Lupin,

wytworny włamywacz.

Przekład **J. P.**

(Ciąg dalszy).

— Policya!... masz pan dowód najlepszy na sobie. Jesteś na miejscu przestępstwa i zamiast szukać śladów, chociażby najdrobniejszych wskazówek, pan nawet nie drgniesz.

— Odkryć ślady Arseniusza Lupin! Ależ, panie łaskawy, człowiek ten nigdy nie pozostawia po sobie żadnych śladów! Przewiduje wszystko! Dochodzę do przekonania, że nawet uwięzienie w Ameryce nie stało się wbrew jego woli.

— W takim razie muszę się pożegnać z memi obrazami, pożegnać ze wszystkiem. Wydarł najkosztowniejsze perły z mych zbiorów. Dla ich odzyskania poświęciłbym cały majątek. Jeżeli istotnie jest niezwalczony, niech poda cenę!

Ganimard przyjrzał mu się uważnie.

— Oto pierwsze słowo rozsądne. Nie cofniesz go pan?

— Nie, nie i jeszcze raz nie. Dlaczego pan się o to pyta.

— Mam pewną myśl...

— Jaką?

— Powiem panu później, jeżeli śledztwo nie przyniesie żadnych rezultatów. Tylko jeden warunek: jeżeli chcesz pan, aby mi się udało, słówkiem nie wspominaj o mnie.

Dodał przez zęby:

— Co prawda, nie mam się czem chwalić.

Agenci powoli przychodzili do siebie. Otwierali zdumione oczy, z miną ogłupiałą, właściwą ludziom zbudzonym ze snu hypnotycznego, rozglądali się wokoło, starając się zoryentować w położeniu. Ganimard zaczął ich rozpytywać. Nie pamiętali nic.

— Musieliście jednak widzieć kogokolwiek?

— Nie.

— Przypomnijcie sobie!

— Nie, nie...

— Piliście wczoraj cośkolwiek.

Zamyślili się.

Po chwili jeden z nich rzekł:

— Wypiłem trochę wody.

— Wody z tej karafki?

— Tak.

— Ja także — oświadczył drugi.

Ganimard powąchał wodę, potem jej skosztował. Nie miała nic odrębnego ani w smaku, ani w zapachu.

— Dosyć tego — rzekł — tracimy tylko czas. Nikt na świecie w przeciągu pięciu minut nie odgadnie dróg myślowych Arseniusza Lupin. Lecz, do dyaska, przysięgam, że go wyśledzę! Wygrywa partyę po raz drugi. Należy mi się odwet!

Tego samego dnia jeszcze baron Cahorn wniósł skargę o kradzież przeciwko Arseniuszowi Lupin, więźniowi z la Santé.

* * *

Czynu tego baron żałował nieraz, widząc Malaquis wydane na pastwę żandarmów, prokuratora, sędziego śledczego, reporterów dziennikarzy i ciekawych, którzy się wkręcą wszędzie, gdzie ich najmniej pragną.

Sprawa roznamiętniła opinię publiczną. Rozpoczęła się w warunkach tak niezwykłych. Nazwisko Arseniuza Lupin podniecało wyobraźnię. Najnieprawdopodobniejsze historye wypełniały kolumny dzienników, znajdując kredyt wśród publiczności.

List Arseniusza Lupin, ogłoszony w Echo de France, (nikt się nigdy nie dowiedział, kto go doręczył redakcyi), list w którym uprzedzono barona o grożącej mu kradzieży, wywarł silne wrażenie. Zaczęły krążyć wersye najnieprawdopodobniejsze. Przypomniano sobie o istnieniu sławnych podziemi. Pod wpływem tych bajań, prokuratorya rozpoczęła nowe poszukiwania.

Przetrząśnięto zamek od piwnic aż do poddaszy. Oglądano każdy kamyk. Zdejmowano boazerye, ramy luster, belki z sufitu — zaglądano do kominków. Przy blasku pochodni badano olbrzymie piwnice, w których panowie na Malaquis trzymali niegdyś amunicyę i żywność. Wiercono skałę. Wszystko było daremnem. Nie odnaleziono ani śladu podziemi. Przejście tajemne nie istniało wcale.

Niech i tak będzie — odpowiadano ze wszystkich stron — lecz meble i obrazy nie znikły nagle, jak nikną senne widziadła. Wyniesiono je przez okna lub drzwi. Kto je wyniósł. W jaki sposób ludzie ci dostali się do zamku? Jak ztamtąd wyszli?

Prokuratorya w Rouen, przekonawszy się o swej bezsilności, wezwała do pomocy agentów paryskich. Dudouis, prefekt policyi, przysłał najlepszych swych wyżłów. Zjechał nawet osobiście do Malaquis i spędził tam dni parę. Sprawy nie posunął naprzód.

Wtedy wezwał do siebie głównego inspektora, Ganimard'a, którego zdolności wysoko cenił.

Ganimard wysłuchał w milczeniu instrukcyi zwierzchnika, poczem, potrząsając głową, oświadczył:

— Zdaje mi się, że policya weszła na błędne tory. Przetrząsanie zamku nie doprowadzi do niczego. Rozwiązania zagadki szukać należy gdzieindziej.

— Gdzie mianowicie?

— U Arseniusza Lupin.

— U Arseniusza Lupin! W takim razie przypuszczasz pan jego udział w tej sprawie.

— Przypuszczam... nawet jestem pewny.

— Słuchaj, Ganimard, przecież to niedorzeczność. Arseniusz Lupin znajduje się w więzieniu.

— Arseniusz Lupin znajduje się w więzieniu pod ścisłym dozorem — zgoda na to. Gdyby nawet był zakuty w kajdany, a usta miał zakneblowane, nie zmieniłby zdania.

— Zkąd taki upór?

— Dlatego, że tylko jeden, jedyny Arseniusz Lupin, zdolny jest obmyśleć przedsięwzięcie na tak wielką skalę i poprowadzić ją tak genialnie, aby się wszystko według planu stało.

— Czcze słowa, panie Ganimard.

— Słowa, mające znaczenie rzeczywiste. Otóż, mojem zdaniem, zaprzestańmy szukania pod ziemią i tych podobnych bredni.

Arseniusz Lupin nie ucieka się do tak przestarzałych sposobów. To człowiek dzisiejszy... więcej nawet — to człowiek jutra!

— Jakiż ztąd wniosek?

— Proszę o godzinę rozmowy z Arseniuszem Lupin.

— W jego celi?

— Tak. Podczas powrotu z Ameryki, zawiązały się między nami stosunki życzliwe. Śmiem twierdzić, iż powziął on pewną sympatyę dla człowieka, który potrafił go schwytać.

Jeżeli będzie mógł udzielić mi wyjaśnień, nie kompromitując siebie, jestem pewien, że mi oszczędzi daremnej podróży.

Zaraz po południu wprowadzono Ganimard'a do celi Arseniusza Lupin. Więzień leżał na łóżku. Na widok Ganimard'a wydał okrzyk radości.

— Ach, co za miła niespodzianka! Kochany pan Ganimard u mnie!

— On sam, we własnej osobie.

— W ustroniu, które sobie wybrałem, pragnąłem nieraz wielu rzeczy... niczego jednak nie pożądałem tak gorąco, jak wizyty pana.

— Zbytek uprzejmości.

— Ależ nie, nie... żywię dla pana najgłębszy szacunek.

— Dumny jestem z tego.

— Zawsze utrzymywałem: Ganimard to nasz najlepszy detektyw. Wart jest prawie tyle — podziwiaj pan, moją szczerość — prawie tyle, co Sherlok Holmes. Przykro mi niezmiernie, że mogę panu ofiarować tylko ten stołek. I żadnych napojów chłodzących! Nawet szklanki piwa! Daruj pan, lecz jestem tutaj gościem przelotnym.

Ganimard usiadł z uśmiechem.

Więzień mówił dalej, zadowolony, że się może wygadać:

— Mój Boże! Jakaż to przyjemność, jaki odpoczynek dla oczu, widać twarzy uczciwego człowieka! Mam już dosyć tych wszystkich szpiegów, którzy dziesięć razy na dzień oglądają moje kieszenie, wszystkie rzeczy, wreszcie tę skromną celę, aby się upewnić, że nie obmyślam ucieczki.

Do dyabła! ale też rząd dba o mnie!

— Ma słuszność.

— Przeciwnie. Byłbym tak szczęśliwym, gdyby mi pozwolono żyć spokojnie w cichym zakątku.

— Utrzymując się z dochodów cudzych.

— Nieprawdaż? To byłoby takie proste! Lecz ja tu ględzę, prawie głupstwa, a pan się może spieszy. Do rzeczy więc! Jaki jest powód tak zaszczytnej dla mnie wizyty, kochany panie Ganimard?

— Sprawa Cahorna — oświadczył Ganimard prosto.

— Zaczekaj pan chwilę. Tyle mam spraw na swojej głowie. Muszę odnaleźć w pamięci akty odnoszące się do sprawy Cahorna... Aha, już wiem... Sprawa Cahorna... Zamek Malaquis, Sekwana Dolna. Dwa obrazy Rubensa, jeden Watteau i kilka przedmiotów pomniejszych...

— Pomniejszych!

— O, Dalibóg, to przecież drobnostki... prowadzę sprawy lepsze... skoro jednak ta pana interesuje...

— O cóż idzie?

— Czy mam pana objaśnić, na czem się zatrzymało badanie sądowe?

— Zbyteczne. Czytałem już dzienniki poranne. Pozwolę sobie nawet zrobić małą uwagę, że panowie posuwacie się naprzód dosyć wolno.

— Właśnie dlatego zwracam się do pańskiej uprzejmości.

— Jestem zupełnie na rozkazy pana.

— Przedewszystkiem: Czy sprawą kierował pan?

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

NR. 17

(Ciąg dalszy.)

— I lepiej niż listy macie imie znane, zaszczytne — rzekł na liście żony zapewne opierając się Lafayette — ale to wszystko nie jest jeszcze dostatecznem. Washington zależy od kongresu, a kongres jest cudzoziemcom nieprzychylny. Ja sam, panowie moi — i baron Kalb, mój towarzysz, jesteśmy dotąd tylko prostymi ochotnikami, cierpianymi przez szlachetnego Washingtona.

— Ale zrobimy co się tylko da uczynić — dodał — dacie mi listy wasze, ja je sam przedstawię i oszczędzę może przykrych przejść wstępnych.

To mówiąc rozweselony nieco, zajął się przyjęciem obmokłych gości.

— Jak widzicie, panowie moi, szałas przyszłego generała rzeczypospolitej, nie wiela więcej wart nad żołnierską budę... przyjmijcie w nim taką gościnność, na jaką się ja zdobyć mogę... wszyscy jesteśmy żołnierze...

Zapomniawszy wkrótce o kłopotach położenia, zaczęli mówić o Francyi, o którą Lafayette żywo wypytywał, o Paryżu, o nowinach z Europy, o znajomych i rodzinie.

Opowiadania szły nieprzerwanym ciągiem, jedne po drugich się rozmijając.

Pułaski i Lafayette w prędce się zbliżyli, poznali, ocenili, przypadli sobie do serca.

Młody panicz, bo takim naówczas był jeszcze Lafayette, czuł w przybyłym to bohaterstwo męzkie, nieulęknione, milczące, poważne, o które sam się kusząc, umiał je szanować.

Towarzysze Pułaskisgo z baronem Kalb przeszli tymczasem do sąsiedniego szałasu, w którym mieścić się mieli, a Lafayette wstrzymał konfederata, nie mogąc się z nim nagadać. Rozmowa rosła w serdeczność.

— Kochany hrabio — rzekł w końcu ochotnik francuski do polskiego rozbitka — powiedzcie sobie naprzód, że to nie jest druga ziemi półkula, ale druga i inna ziemia.

Ta społeczność złożona z okruchów różnych warstw ludności starego naszego świata... zahartowana walką z naturą, potrzebą starczenia sobie, pracą, dojrzała w surowych ideach religijnych, które tu dziwne a rozrosłe jak puszcz tych drzewa przybrały rozmiary — z gruntu jest inną niż nasza. Ma ona cnoty, jakie miały Sparta

i Rzym republikański, a wady wieków dzikich i barbarzyńskich, po części zetknięciem się z indyanami i murzynami nabrane. Człowiek tu łagodnym stać się nie mógł, bo musi nieustannie czuwać, bronić się, walczyć... równie ze zwierzętami i z dziczą.

— Znajdziecie tu wielkich ludzi, podobniejszych do bohaterów Plutarcha, niż do współczesnych naszych idei. W spokoju i zbytku, stara Europa rozłożyła się na klasy, na warstwy, na przerozmaite kółka ludzi — tu jest już jeden człowiek znowu, bo losy i potrzeby życia zrównały wszystkich.

— Znajdziecie tu starą szlachtę anglosaksońską, hiszpańską, francuską, powróconą do stanu natury... za stołami kupieckimi, z siekierami plantatorów i wczoraj zbogaconych parobków, rozsiadających się obok z demokratyczną dumą, która jest nie mniejszą od arystokratycznej. — Ale ta przesadna duma wyrabia uczucie godności ludzkiej, zasługi pracy... choć podporą jej jest — niestety, często pieniądz.

— Do tego wszystkiego byliśmy nieco przygotowani, i to nas dziwić nie może — przerwał Pułaski.

— Tak — kończył Lafayette — i ja też jasną stronę tej nowej społeczności i narodu widziałem wprzódy, niżelim tu przybył — ale ciemne — które muszą być wszędzie (bośmy ludźmi) — ciemne, wyznaję, były mi obce... domyśleć się ich było niepodobna... są rażące. Wybaczyć je i poszanować nawet należy, — są to nieuchronne, odwrotne strony medalu.

— Do nich zaliczam, w chwili gdy przybywacie, rażący wstręt do cudzoziemców i ich obyczaju, niechęć przeciw nim i odrazę. W miarę jak się silniejszemi poczuwają Amerykanie, chcieliby się okazać wyższymi od naszego starego świata... Marzą, że tu stworzą lepszy.

— Mnie było niełatwo i wam przyjdzie z ciężkością pomieścić się między nimi... Imie Polski nie wszędzie tu dojść mogło, nie wszędzie jasne przyniosło z sobą pojęcie o jej losach... a wasze, sławne w ojczyźnie i Europie, dla tych ludzi będzie jeszcze nieznanem.

Pułaski spuścił głowę na piersi.

— Dam się im poznać! — rzekł — niech mi tylko dadzą miejsce w szeregach, abym w nich choć zgon godny żołnierza mógł znaleść — o nic mi więcej nie chodzi. Mimo przykładu Katona targnąć się na własne życie nie mogę, bom chrześcianin... ale ono mi cięży dziś, po upadku ojczyzny — chcę je dobrej poświęcić sprawie. — Polska w ucisku, spodieniu, niewoli najsroższego nieprzyjaciela, bo niższego od niej wykształceniem; walczyłem za jej wolność do ostatka, dziś złamany, chcę jeszcze walki, bo pragnę śmierci.

— Lepszych już nie doczekam czasów. Zdaje mi się, że wolni Amerykanie wolnego niegdyś narodu potomkowi miejsca w szeregach i ziemi kawałka na grób odmówić nie mogą.

— Twój szlachetny przykład panie uczy nas, że gdziekolwiek się toczy walka o wolność, idzie o wspólną sprawę ludzkości — tam każdy obcy zyskuje prawo obywatelstwa.

Lafayette słuchał rozrzewniony, ale smutny ścisnął w milczeniu rękę Pułaskiego, i po chwili pożegnał go z listami i papierami udając się w sprawie przybyłych do Washingtona.

Deszcz lał ciągle, widok obozu, ludzi zapełniających go nie były powabne i rzeczywistość daleko odchodziła od wymarzonych w podróży obrazów. Żołnierz amerykański mężny, natchniony często duchem wielkim, wyglądał z bliska prawie odrażająco.

Brakło mu zupełnie nęcącej powierzchowności; wielu z nich okrywały łachmany, zamiast obuwia rodzaj kurpiów i indyjskich mokasynów, na twarzach dobitnie malowało się zniechęcenie i znużenie. Zła pora, niedostatek jadła, niewygody obozowe osmucały twarze i zaostrzały wejrzenia.

Nowi przybysze, gdzie się kolwiek ukazali, za każdym prawie razem witani byli niechętnemi słowy, pogardliwemi wykrzyki i szyderstwy — krwawiło się serce.

Karol stał znękany, w płomieniach gniewu... wrzący, żałował, że się naraził na tę męczarnię nieprzewidywaną.

Tak upłynął smutnie dzień pierwszy, późno w noc powrócił Lafayette od wodza naczelnego, zajrzał do szałasu podróżnych, życzył dobrej nocy, ale się wymówił, że z powodu ważniejszych kwestyi sprawy ich jeszcze u Washingtona zagaić nie mógł. Skłopotany był widocznie i smutny.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ALEKSANDER DUMAS.

WSPÓLNIK GARBARZA

CZYLI

KAWALER DE MAISON-ROUGE.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Chcesz więc tego koniecznie? — rzekł Maurycy.

— Tak jest — odpowiedział Dixmer.

— A więc — zaczął znowu Maurycy, czując w sobie tem większą ulgę, im bardziej zbliżał się do prawdy — rzecz się ma następnie: masz młodą i ładną żonę, mimo więc znanej powszechnie jej nieskazitelnośćci, zaczęto źle mówić o moich tak częstych u was odwiedzinach.

Dixmer lekko pobladł.

— Doprawdy? — rzekł — w takim razie, mój kochany Maurycy, mąż powinien ci podziękować za przykrość, jaką wyrządzasz przyjacielowi.

— Pojmujesz — mówił Maurycy — że nie jestem tyle nierozsądnym, iżbym mniemał, że obecność moja może być niebezpieczną dla waszej małżeńskiej spokojności, ale stać się ona może źródłem potwarzy, które im są niedorzeczniejsze, tem niestety większą zyskują wiarę!

— Dziecko jesteś! — rzekł Dixmer wzruszając ramionami.

— Sądź o mnie jak chcesz, lecz zdala od siebie nie poprzestaniemy być przyjaciołmi, bo nie będziemy sobie mieli nic do wyrzucenia, kiedy przeciwnie z blizka...

— I cóż z blizka?

— Stosunki nasze mogłyby stać się drażliwszemi.

— Myślisz więc, Maurycy, że mógłbym kiedykolwiek przypuścić coś podobnego?

— Eh! dla Boga — rzekł młodzieniec.

— Lecz dla czegożeś pisał mi to wszystko, zamiast raczej powiedzieć.

— Oto, właśnie dla uniknienia obecnej rozmowy naszej.

— Gniewa cię zatem mój Maurycy, że jako prawdziwie cię kochający przychodzę tu żądać objaśnienia? — spytał Dixmer.

— Oh! — zawołał Maurycy — owszem, przysięgam ci, jestem bardzo szczęśliwy, że choć raz jeszcze przynajmniej oglądam cię, nim się na zawsze rozstaniemy.

— Nie miałżebyś u nas bywać, obywatelu! a jednak szczerześmy cię kochali — odpowiedział Dixmer, biorąc rękę młodzieńca i ściskając w swoich.

Maurycy zadrżał.

— Morand — mówił dalej Dixmer, którego baczności nie uszło to zadrżenie, ale który tego jednak nie dał poznać po sobie — Morand powtarzał mi kilka razy dziś rano: „czyń co będziesz mógł, byleś sprowadził nam znowu tego kochanego Maurycego.

— Ah! panie — rzekł młodzieniec marszcząc brwi i usuwając rękę — nie sądziłem nigdy, że zasłużyłem na taką życzliwość obywatela Moranda.

— Wątpisz o niej? — spytał Dixmer.

— Ja — odpowiedział Maurycy — ani wierzę ani wątpię, nie mam powodu do brania tego pod rozwagę: bywając w twym domu, bywałem dla ciebie i twej żony, lecz nie dla obywatela Morand.

— Nie znasz go Maurycy — rzekł Dixmer — Morand jest to piękna dusza.

— Nie przeczę — z gorzkim uśmiechem powiedział Maurycy.

A teraz — mówił dalej Dixmer — wróćmy do celu moich odwiedzin.

Maurycy skłonił się, jak ten, kto niema już nic więcej do powiedzenia i tylko czeka.

— Mówisz więc, że zaczęły krążyć czcze wieści?

— Tak jest, obywatelu — rzekł Maurycy.

— No, mój kochany mówmy szczerze. Dla czegoż miałbyś uważać na nierozsądną gadaninę którego z próżnujących sąsiadów? Alboż to, mój

Maurycy brak ci sumienia, a mojej Genowefie uczciwości?

— Młodszy jestem od ciebie — powiedział Maurycy zaczynając dziwić się temu nastawaniu — i dla tego podejrzliwem może okiem patrzę na wszystko. Oświadczam ci zatem, że na sławie takiej jak Genowefa kobiety, nie powinna ciężyć czcza gadanina próżnującego sąsiada. — Pozwól więc, kochany Dixmer, że trwać będę w pierwszem mojem postanowieniu.

— No — rzekł Dixmer — ponieważ zabraliśmy się do wyznawania, wyznajmy więc jeszcze co nowego.

— Co? — spytał Maurycy rumieniąc się — cóż chcesz abym ci jeszcze wyznał.

— Że ani polityka, ani wieści o częstem przebywaniu w domu moim, skłoniły cię do opuszczenia nas.

— Cóż więc tedy?

— Oto tajemnica, której dociekłeś.

— Jaka tajemnica? — spytał Maurycy z wyrazem naiwnej ciekawości, który uspokoił garbarza.

— Ów interes dotyczący kontrabandy, o którym dowiedziałeś się owego wieczora, kiedyśmy cię w tak dziwny sposób poznali. Nigdyś mi nie przebaczył tej defraudacyi, i zarzucasz mi, że jestem złym republikaninem, bo w garbarni mojej używam angielskich produktów.

— Mój kochany Dixmer — rzekł Maurycy — przysięgam ci, że ilekroć szedłem do ciebie, nigdy mi nawet w myśli nie postało, że idę do przemytnika.

— Doprawdy?

— Doprawdy.

— Zaprzestałeś więc bywać u mnie jedynie dla powodu, o którym mi wspomniałeś?

— Daję ci na to moje słowo honoru.

— Skoro tak, Maurycy — powiedział Dixmer wstając i ściskając dłoń młodzieńca — mam nadzieję, że zastanowisz się i cofniesz to tyle dla nas wszystkich bolesne postanowienie.

Maurycy ukłonił się nic nie odpowiadając; co wyrównywało ostatecznemu odmówieniu.

Dixmer wyszedł zasmucony, że nie mógł ustalić stosunków z człowiekiem, który dla pewnych okoliczności nie tylko zbyt mu był potrzebnym, ale nawet niezbędnym.

Czas też był po temu.

Maurycym miotało tysiące różnorodnych żądań, Dixmer prosił, aby znowu bywał u niego; Genowefa mogła mu przebaczyć.

Dla czegoż więc rozpaczał?

Lorin w jego miejscu byłby przytoczył tysiące aforyzmów ze swych ulubionych autorów. Ale Maurycy miał przy sobie list Genowefy, owe formalne pożegnanie, które zabrał z sobą do sekcyi i trzymał przy sercu wraz z bilecikiem odebranym nazajutrz po wyswobodzeniu jej z rąk ludzi co ją znieważali; nakoniec co większa, Maurycy tchnął uporczywą zazdrością ku nienawistnemu Morandowi, tej pierwszej przyczynie zerwania z Genowefą.

Maurycy więc pozostał nieugięty w swem postanowieniu.

Atoli wyznać należy, że zrzeczenie się codziennych odwiedzin w domu przy starej ulicy ś. Jakuba, stanowiło niejaką w jego życiu próżnię; skoro więc nadchodziła godzina w której zwykle udawał się do cyrkułu ś. Wiktora, wpadał w głęboką melancholię i natychmiast ulegał najrozmaitszym wrażeniom oczekiwania i żalu.

Każdego poranku przebudziwszy się, miał nadzieję że znajdzie list od Dixmera, i nie taił przed sobą, że jakkolwiek oparł się osobistym jego naleganiom, uległby jednak listowi; co dzień wychodził w nadziei spotkania gdziekolwiek Genowefy, i na podobny przypadek układał z góry tysiące środków zbliżenia się do niej i wejść w rozmowę. Co wieczor wracał do siebie w nadziei, że zastanie owego posłańca, który pewnego poranku nie domyślając się tego, przyniósł mu boleść, tę odtąd nieodstępną jego towarzyszkę.

Częstokroć także w godzinach rozpaczy, potężna duma Maurycego wstydziła się samej nawet myśli doznawania podobnych męczarni, bez możności przekazania ich temu co je zrodził; jakoż, pierwszym sprawcą wszelkich jego smutków był Morand.

Wówczas chciał umyślnie szukać z nim sprzeczki, lecz wspólnik Dixmera tak był delikatny, tak nieobraźliwy, że znieważać go lub wyzywać, byłoby podłością ze strony takiego jak Maurycy kolosu.

Lorin przychodził niekiedy rozrywać troski przyjaciela, których przyczyny wszakże tenże nie chciał mu nigdy wyjawić, jakkolwiek nie zapierał się ich istnienia. Czynił praktycznie i teoretycznie co tylko było w jego możności, aby powrócić ojczyźnie to serce inną miłością skołatane.

Atoli jakkolwiek ważnym był ówczesny stan rzeczy, jakkolwiek w każdem innem usposobieniu umysłu, byłby porwał całkiem Maurycego w wir polityczny, nie mógł on jednak przywrócić mu owej pierwiastkowej jego działalności,

która w dniach 14 lipca i 10 sierpnia uczyniła go bohaterem.

W rzeczy samej dwa stronnictwa, tj. żyrondystów i Robespier'a, które od kilku miesięcy walczyły z sobą — miały teraz na królewskim więźniu doświadczyć sił wzajemnych by walkę śmiercią jednego zakończyć. Niestety — stronnictwo umiarkowanych tj. żyrondystów zostało pokonane, głowa Ludwika XVI spadła na rusztowaniu, Robespier zwyciężył...

Potem znowu następuje rozprężenie, zdrada rodzi zdradę, wszystko przepowiada, że nadchodzi dzień straszny, który jak powietrzna trąba porwać miał za sobą zaporę — jaką rewolucya stawiała trwodze.

W takich to wypadkach, Maurycy, gdyby nie obecny stan jego, byłby zapewne przyjął czynny udział, do którego nadawała mu prawo silna jego natura i wygórowany patryotyzm. Atoli na szczęście czy też na nieszczęście jego, ani namowy Lorina, ani okropne roztargnienia na ulicy, nie zdołały usunąć mu z głowy jedynej myśli, co uporczywie tam zasiadła, i gdy nadszedł 31 maj, straszny ów zdobywca Bastylii i zamku Tuilleries, leżał w łóżku, pożerany ową gorączką zabijającą najsilniejszych, na której uśmierzenie jednak dosyć jednego spojrzenia, na której uleczenie dosyć jednego słowa.

VII.

31. maj.

W ten pamiętny dzień 31. maja, kiedy odgłos dzwonu i bębna od samego już świtu rozlegał się po ulicach Paryża, batalion z przedmieścia ś. Wiktora, wchodził do Temple.

Gdy zwykłych formalności dopełniono, gdy porozstawiano straże, przybyli służbowi urzędnicy i cztery działa wytoczyły się dla wzmocnienia bateryi przy wejściu do Temple urządzonej.

Jednocześnie z działami przybył i Santerre, w swych szlifach z żółtej wełny, i mundurze, któremu wielkie tłuste plamy nadawały patryotyczną cechę.

Odbył przegląd batalionu, a znalazłszy wszystko w należytym porządku, obliczył urzędników, których było tylko trzech.

— Dla czegoż tylko trzech? — spytał jednego z nich — i jak się nazywa niedbały obywatel, którego brakuje?

— Ten którego brakuje, obywatelu generale, wcale nie jest niedbałym — odpowiedział znajomy nam Agrikola — jest to bowiem sekretarz sekcyi Lepelletier, naczelnik dzielnych Termopilistów, słowem obywatel Maurycy Lindey.

— Dobrze, dobrze — rzekł Santerre — i ja podobnie tobie nie zaprzeczam patryotyzmu obywatelowi Maurycemu Lindey, jednak nie przeszkadza to do zapisania go na listę nieobecnych, jeżeli za dziesięć minut nie przybędzie.

To powiedziawszy Santerre zaczął wdawać się w inne szczegóły.

O kilka kroków od niego, i w chwili gdy to mówił, kapitan od strzelców i jeden żołnierz stali na uboczu; pierwszy podparł się karabinem, drugi leżał prawie na armacie.

— Czy słyszałeś? — spytał kapitan żołnierza półgłosem — Maurycego jeszcze nie ma.

— Prawda kapitanie — odparł tenże — ale bądź spokojny, on przybędzie, chyba że należy do wichrzycieli.

— Gdyby nie przybył — powiedział kapitan — postawię cię na warcie na schodach, a że ona wyjdzie na wieżę, może więc będziesz jej mógł szepnąć parę słów.

W tej chwili wszedł jakiś człowiek po którego trójkolorowej szarfie można było poznać, że jest urzędnikiem; kapitan jednak i żołnierz nie znali go, dla tego też pilnie go wzrokiem śledzili.

— Obywatelu jenerale — przemówił nowo przybyły do Santerra — pozwól mi proszę, zastąpić obywatela Maurycego Lindey, który jest chory i przysyła swiadectwo lekarza. Kolej moja przypada dopiero za tydzień, pomieniałem się z nim, za tydzień odbędzie on służbę za mnie, dzisiaj zaś jego zastąpię.

— Jeżeli tylko Kapety tydzień ten przeżyją — wtrącił jeden z trzech innych urzędników.

Santerre odpowiedział uśmiechem za ten żart gorliwca i obracając się ku zastępcy Maurycego rzekł:

— Dobrze, zapisz się w rejestrze na miejscu Maurycego Lindey i w uwagach wymień przyczyny tej zmiany.

Tymczasem kapitan i strzelec z radosnem zadziwieniem spojrzeli po sobie.

— Za tydzień — rzekli.

— Kapitanie Dixmer — zawołał Santerre — zajmij w ogrodzie stanowisko z całą kompanią.

— Pójdź, Morand — powiedział kapitan do swego towarzysza strzelca.

Uderzono w bęben i cała kompania pod przewództwem garbarza ruszyła we wskazanym kierunku.

Ustawiono broń w kozły, gwardziści narodowi podzielili się na grupy, tu i owdzie dowolnie przechadzające się.

Miejscem ich przechadzki był właśnie ogród, w którym za czasów Ludwika XVI. rodzina królewska lubiła niekiedy używać świeżego powietrza.

Teraz ogród ten był nagi, wyschły, spustoszony, zupełnie ogołocony z kwiatów, drzew i wszelkiej zieloności.

O dwadzieścia pięć kroków od części muru wychodzących na ulicę Porte-Foin, wznosiła się chatka, którą zbudować pozwolono dla większej wygody narodowych gwardzistów, trzymających straż w Temple, i którzy w dniach rozruchu kiedy nie wolno wychodzić, znajdowali tam jadło i napój.

O zarząd tą małą wewnętrzną oberzą mocno się ubiegano.

Nakoniec przyznano go wybornej patryotce, wdowie po mieszkańcu z przedmieścia, poległego dnia 10-go września, zwanej obywatelką Plumeau.

Mała ta chatka zbudowana z desek i gliny, stała na gruncie ogrodu, o którego granicach świadczył jeszcze karłowaty, bukszpanowy płotek. Składała się zaś z jednej izby dwanaście stóp kwadratowych rozległej, i urządzonej pod nią piwnicy, do której prowadziły schody grubo z ziemi wyrznięte.

Tam to wdowa Plumeau zamykała swe napoje i wiktuały, nad któremi wraz swą dwunasto letnią córką kolejno czuwały.

Zaledwie więc gwardziści narodowi zainstalowali się na swym biwaku, jedni jak powiedzieliśmy, zaczęli przechadzać się po ogrodzie, drudzy rozmawiać z odźwiernymi, inni znowu przypatrywali się różnym patryotycznym rysunkom, na murze umieszczonym, a inni nakoniec powierzali pani Plumeau swoje gastronomiczne zamiary, co mniej więcej zaostrzało im apetyt.

Do liczby tych ostatnich należeli wspomnieni wyżej kapitan i strzelec.

— Ah! kapitanie — rzekła oberżystka — mam przedziwne wino Saumur.

— Dobrze obywatelko Plumeau; ale według mnie wino Saumur nic nie warte bez sera de Brie — odpowiedział kapitan, który poprzednio obejrzał się do koła i między rozwieszonemi wszędzie wiktuałami, nie dostrzegł tyle ulubionego sera.

— Ah! mój kapitanie, to jakby naumyślnie, ale już nie ma ani kawałeczka.

— Niema sera, to nie trzeba wina — powiedział kapitan — szkoda, obywatelko, bo chciałem poczęstować nim całą kompanię.

— Mój kapitanie, pozwól mi pięć minut czasu, a pobiegnę do odźwiernego i przyniosę. Jest to wprawdzie mój współzawodnik, będę mu musiała nieco drożej zapłacić; ale ty kapitanie jesteś zbyt dobrym patryotą, iżbyś mi nie miał tego wynagrodzić.

— Dobrze, dobrze, biegaj — powiedział Dixmer — a my tymczasem zejdźmy do piwnicy i sami sobie wino wybierzemy.

— Bądź tu jak w własnym domu kapitanie.

I wdowa Plumeau pobiegła czemprędzej do budy odźwiernego.

Kapitan zaś i strzelec wziąwszy świecę i podniósłszy klapę spuszczali się do piwnicy.

— Dobrze — rzekł Morand, rozpoznawszy miejscowość — piwnica ciągnie się w kierunku ulicy Porte-Foin. Ma dziewięć do dziesięciu stóp głębokości i nigdzie nie murowana.

— A jakiego tu gatunku ziemia? — spytał Dixmer.

— Kamień kredziasty. Grunt tu nienaturalny, ale naniesiony, bo te ogrody po kilka razy do góry nogami przewrócono; skały nie ma tu nigdzie.

— Żywo — zawołał Dixmer — słyszę trzewiki naszej wiwandyerki; weź parę butelek wina i marsz na górę.

Obaj właśnie pokazali się w otworze piwnicy gdy wdowa Plumeau wchodziła z tyle pożądanym serem de Brie.

Za nią cisnęło się kilku strzelców, zwabionych dobrym pozorem sera.

Dixmer czynił honory.

Kazał dać dwadzieścia butelek wina dla całej kompanii, a obywatel Morand opowiadał tymczasem o poświęceniu się Kurcyusza, o bezinteresowności Fabrycego, o patryotyzmie Brutusa, owych historyach, które również prawie chwalono jak ser de Brie i wino Saumur, a co nie mało znaczyło.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

— Przecież ty sam przeważyłeś — wtrącił garbus — gdy dla ciebie uszła z rodzicielskiego domu?

— Mylisz się. Helma wyznała mi sama, iż się po ojcu tej surowości nie spodziewała nigdy, że rachowała na wpływ matki, że była pewną, iż go przebłaga... inaczej — byłaby może czekała na mnie, ale nie uszłaby ze mną.

Doktór wyczerpawszy wszystko i widząc, że w Wolskim rozdraźnienie próżne rosło, jak wprzódy rad był go do wyznań pobudzić, tak teraz pragnął je powstrzymać. Lecz otwarte usta biednego męczennika, który cierpiał tak długo, nie mogły się zamknąć łatwo. Rosła w nim gorączka.

— Cóż cię dziś do tego stanu przywiodło? — odezwał się Wojtuś.

A! dziś — nic! Kropla często jedna czarę dopełni i bryźnie z brzegów... Dzieciństwo... mój krawiec zamiast mi przynieść rachunek, posłał go radzcy a on, nadpisawszy na nim głupstwo, raczył mnie go odesłać.

— Czemużeś go wprzód nie odpłacił?

— Czem? — zapytał Wolski.

— Ależ żona...

— Żonie tak samo jak mnie każdy grosz rachują, uchodzimy za stratnych — mówił Wolski. — Ja zarabiam, gdy się uda, i obywam się bez ich łaski, ale nie zawsze zarobić mogę — żona, gdy co dostanie, obraca na dzieci i — na książki, nigdym od niej nic nie potrzebował, głupi krawiec byłby mi oszczędził upokorzenia, czekając dni parę, znalazłem robotę, na praktykę nic liczyć nie podobna, wziąłem do tłómaczenia fizyologię, siedzę po nocach, dostanę kilkadziesiąt talarów.

— Kilkadziesiąt!

— Tak, najlepszych w świecie tłumaczów tylu mrze z głodu, iż to jeszcze łaska, żem innym odebrał robotę.

Wojtuś otworzony pugilares położył przed przyjacielem, który go zlekka odtrącił.

— Wszystko już załatwione — przeszło — skończyło się — chciałbym tylko zapomnieć, zaspać wrażenie i wrócić do tej skorupy lodowej, którą okryty chodzić muszę.

— Tylko dziś pójdziemy gdzieś razem, abym nie wrócił do domu, aż się pośpią wszyscy... Lischen moja pytać tam będzie o ojca może — ale się dużą lalką pocieszy, którą od babki dostała... Fryc nie zakłopocze się o mnie... a Emil... nie wiem.

— Biedne dzieci! biedne dzieci!

— Ale będą miały po stotysięcy talarów i dziadzio wyrobi baronostwo von Wolski — Riebe...

Zaczął się śmiać konwulsyjnie.

— Chodźmy — chwytając go za rękę począł doktor — dosyć tego — zapraszam cię na obiad — przypomnimy dawne czasy.

— Ale cóż się stało z Richterową?

Wolski się uśmiechnął.

— Zastałem poczciwą kobietę biedniejszą niż kiedykolwiek była, zawsze w boju z niewdzięcznymi studentami, których utrzymuje.

— Przyjęła mnie jako syna, popłakaliśmy się. Chodzę do niej czasami, alem nie miał siły zajść do tej mojej izdebki.

Po północy już było, gdy Wolski po przeciągniętym do nieskończoności obiedzie, który się stał wieczerzą, rozmarzony nieco, rozgorączkowany powracał do domu.

W ulicach było pusto, a około domu radzcy komercyjnego żywego ducha. W oknach ani na pierwszem ani na drugiem piętrze nie widać było światła. Tego sobie życzył właśnie. Mógł wnijść do swojej izdebki niewidziany i we śnie resztę utrapień utopić.

Z pokoiku, któryśmy opisali, małe drzwiczki wiodły do szczupłej, ciemnej alkowy, w której stało nędzne łóżko doktora, z łaski czasem nieco odświeżone przez służącą, która wiedząc, że jej nikt za to słowa nie powie ani się upomni, nie potrzebowała bardzo się panem kłopotać.

Podrzędna rola, jaką Wolski grał w domu, była tak dla wszystkich widoczną, iż wpływała nawet na obejście się z nim służby. Nawykły już po części nie upominał się ani poskarżył nigdy,

W domu spało wszystko, gdy dostawszy się na drugie piętro powoli drzwi otworzył i omackiem skierował się ku swej izdebce. Zdala dolatywało go tylko kwilenie dziecka, był to głos małej Lischen, którą matka najmniej lubiła a którą on kochał najwięcej. Zatrzymał się chwilę, zdało mu się, że dziecię usypia — uspokojony więc powlókł się do swej alkowy.

Tylko co był wyszukał i zapalił świecę, gdy od salonu, który przez jakiś pokoik łączył się z jego gabinetem, kroki słyszeć się dały. Poznał chód żony. Byłby wiele dał, aby się z nią dzisiaj w tem rozdrażnieniu nie widzieć, podbiegł więc prędko, aby drzwi zaryglować po cichu, ale nim pospieszył, Helma z książką w ręku ukazała się na progu.

Zmierzyła oczyma stojącego naprzeciw męża i zapytała zimno:

— Cóż się z tobą stało?

— Jakto? — odparł Wolski — dla czegoż miało się co stać?

— Nie byłeś cały dzień w domu.

— Dziwi mnie, żeś ty to mogła spostrzedz.

Helma spojrzała na niego z góry, zdziwiona tonem niezwyczajnym.

— Cóż to? wymówka? — rzekła marszcząc się.

— Nie, ale objaśnienie — dodał Wolski biorąc świecę i chcąc odejść do alkowy — kobieta stała w progu potrząsając książką; nawykła była do pokory — nadskakiwania, posłuszeństwa, bunt ten raczej dziwił ją niż przestraszał.

— Rozumiem — mruknęła po cichu — towarzystwo nasze nie może ci tak przypadać do smaku jak twoich panów Polaków.

— Proszę cię, moja Helmo — odezwał się odwracając Wolski — nie zapominaj, że ja jestem też Polakiem. Winienem tylko, żem ci tego częściej i jaśniej nie przypominał.

Kobieta zaczerwieniła się.

— Nie potrzebujesz mi przypominać tego — rzekła — czuję to i widzę ciągle, nigdy się też nie rozumiemy.

— Zwłaszcza od pewnego czasu — dodał Wolski.

— Od jakiego czasu?

Chwilę milczał doktór, ręka, w której lichtarz trzymał, trzęsła się widocznie.

— Od czasu, jak mnie nie potrzebujesz, jak przestałem być parobkiem a stałem się gracyalistą — na łasce.

— Źle ci jeszcze? — odparła Helma.

— Przypatrz się i pomyśl, a nie będziesz mnie o to pytała — zawołał wybuchając Wolski. — Może mi być dobrze? Jestem mężem i głową domu, a gram rolę sługi, twoi rodzice nie cierpią mnie, ty zaledwie znosisz, jestem pośmiewiskiem domowych i obcych, nie mam ani władzy ani woli. Zaparłem się dla ciebie stosunków, kraju, języka mego, wszystko co mi najdroższe, cóż mam za to? że mi nawet własnych mych dzieci nie wolno wychować, jak chcę.

Helma słuchała tych wymówek z zimną krwią pozorną, widać jednak było, że z trudnością utrzymać się mogła.

— Jesteś niewdzięczny! — krzyknęła wreszcie — poświęciłam ci, co kobieta ma najdroższego, młodość — związki rodzinne, ojca, matkę, cóżeś ty dla mnie zaofiarował? barbarzyński jakiś język i umarłą narodowość, która nigdy bardzo żywą nie była! Polak! cóż to jest? — spytała drwiąco. Słowianin! Sclave! niewolnik — to wasz los i przeznaczenie. Wyście stworzeni na niewolników, my na panujących — macie to, na coście zasłużyli.

Wolski, którego cały ten dzień roznamiętnił — obrócił się groźny, zmieniony, jakim go jeszcze nigdy nie widziała Helma.

Stuknął nogą o posadzkę.

— Milczeć, kobieto! — zawołał — jak wy wszyscy bezbronnemu bezkarnie chcesz mi urągać — ale nie sądź, bym był tak bezsilnym i przybitym — i robak zdeptany głowę podnosi.

— Dosyć tego!

— Śmiesz mi to mówić — ty? tu? pod dachem moich rodziców i moim, ty, któremu my dajemy przytułek z łaski... ty...

Ten wykrzyk szczęściem opamiętał Wolskiego i oblał go jakby zimną wodą.

Poczuł się wyższym nad nią — spojrzał pogardliwie.

— Powtórz, coś powiedziała — rzekł stygnąc — powtórz jeszcze raz.

Helma zarumieniona, drżąca zamilkła.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DZIAŁ KOBIECY.

Do naszych Matek.

W wychodzącym w Poznaniu „Głosie Wielkopolanek" czytamy:

Poruszono już w „Głosie Wielkopolanek" różne kwestye wychowania dzieci, pominięto atoli jedno, co również wymaga reformy i zastanowienia.

Słyszymy często utyskiwanie matek i sióstr, że ich synowie i bracia tak zawsze unikają ich towarzystwa, wychodząc dla przyjemności, na przechadzki itp. zawsze tylko w swoim gronie, w gronie mężczyzn. W niedziele i święta ani się nie zatroszczą, co panie robić będą, jak święta spędzą, byle tylko oni się zabawili, choć najdalej od grona rodzinnego i w mniej stosownem towarzystwie.

Tak być nie powinno, przecież matki i siostry, jeżeli pojmują swe obowiązki, najwięcej troszczą się o to, aby w domu było wszystko na czas przysposobione i starają się o to, aby swoim uprzyjemnić i umilić pobyt w domu.

Czy rodzina powinna się łączyć w domu tylko przy obiadach, kolacyach itp.?

Znałam pewną rodzinę, pod względem materyalnym i towarzyskim bardzo dobrze usytuowaną, która pomiędzy sobą prowadziła zresztą zgodne pożycie. Ale poza domem nigdy ich nie widziałam razem. Ojciec przy pracy umysłowej, nikt się o niego nie zatroszczył, że i on potrzebuje rozrywki i świeżego powietrza Matka bywała wiele w towarzystwach i na kawkach. Synowie w czasie wakacyi wychodzili z kolegami, urządzali różne wycieczki, starannie unikając reszty rodzeństwa, tak, że ich przez parę lat sąsiedzi nigdy w towarzystwie rodziców nie widzieli. Córka także wychodziła albo wyjeżdżała z swojemi przyjaciółkami.

Po śmierci ojca matka wprawdzie dostawała znaczną pensyę i troski pieniężnej nie zaznali, ale będąc pomiędzy sobą obci przedtem, zobojętnieli jeszcze bardziej; synowie, nie czując już nad sobą władzy ojcowskiej, zamiast iść ręka w rękę z matką i starać się o polepszenie bytu, rozhulali się i przestali uczęszczać na studya, a córka także opuściła cierpiącą matkę, przyjmując jakieś stanowisko.

Mogłabym przytoczyć wiele przykładów podobnych i przeciwnych, jakie to dobre są skutki, jeżeli w rodzinie panuje harmonia i przywiązanie,

Zwracam się zatem do matek i sióstr, aby wpływały na stosunki rodzinne. Nie należy jednakże, dopiero wówczas, gdy chłopcy dorastają, wymagać od nich energicznie, aby się do rozkazów stosowali i towarzyszyli rodzicom lub siostrom do kościoła albo na przechadzkę. Trzeba już na małe dzieci wpływać i systematycznie z niemi postępować. Łatwem to nie jest, walczyć ustawicznie trzeba i to niby dla mniej ważnych celów, gdzie chodzi właściwie o przyjemności, ale proszę zważać na to, jakie dobre skutki wywiera to na całą .rodzinę, gdy panuje w niej zawsze zgoda, jedność i przywiązanie.

Jeżeli są siostry starsze od braci, niech często poświęcają swoje przyjemności, przestając w wolnych od nauki godzinach więcej w towarzystwie tych młodszych braci. Jakie to piękne wieczory można spędzić przy różnycb grach, albo słuchając głośnego czytania. Dzieci bardzo się cieszą na takie wspólne wieczory, nie mogą nieraz doczekać, jeżeli dalszy ciąg powieści jest interesujący. Można też dzieciom zrobić jakąś niespodziankę i czasem podać jakiś specyał ewentualnie przez siostrzyczkę przyprawiony, to może też zachęcić dziewczęta do zajmowania się więcej sztuką kulinarną.

Przy takiem postępowaniu chłopcy więcej się przyzwyczajają do przestawania w gronie rodzinnem i choć nieraz z kolegami miło się bawią, starają się także swoim dotrzymać towarzystwa. W późniejszym nawet wieku z jaką przyjemnością i tęsknotą wspomninają nieraz te miłe chwile wspólnie przepędzone.

Tejot.

Niech żyje życie!

Choć życie czarę da ci do wypicia
Pełną goryczy, trucizny i łez,
Spełń ją i nawet jeszcze na cześć życia,
Którego nigdy niewiadomy kres,
Wznieś okrzyk choćby łzę ścierając skrycie:
Niech żyje życie!

Choć los domiesza do twego kielicha
Sącząc powoli najostrzejszy jad,
Niech z ust nie spłynie nawet skarga cicha,
Ani żal próżny na ludzi i świat;
Wznieś okrzyk w młodych dni twoich rozkwicie:
Niech żyje życie!

I choć już ono zmęczy cię i znuży,
Pij wciąż odważnie z gorzkiej swojej czary,
Aby u kresu życiowej podróży
Módz jeszcze szepnąć nie straciwszy wiary
I tonąc wzrokiem tam, w niebios błękicie:
Niech żyje życie!

Niech żyje życie, bo kto przetrwa próbę,
Kto kielich spełni pogodnie, do końca,
Ach, tego czeka odetchnienie lube,
Ten będzie wzniesion nad gwiazdy i słońca;
Trzeba wznieść okrzyk, choćby łkając skrycie:
Niech żyje życie!

Paula Wężyk.

HYGIENA.

Żarnice i szkarlatyna w szkole.

I.

Szkoła bywa często rozsadnikiem chorób zakaźnych.

Jak wiemy chorobami zakaźnemi są te, które powstają wskutek rozmnażania się w organizmie drobniutkich żyjątek, zwanych bakteryami. Choroby takie przebiegają dość gwałtownie i tem się odznaczają, że przenoszą się na innych: bakterye bowiem mogą być wraz z wydzielinami (plwociną, potem) chorego przeniesione na człowieka zdrowego (do gardła, do płuc) przez ranki skóry i, o ile ten ostatni nie ma siły zwalczać ich, bakterye rozmnażają się w nowym organizmie i wywołują chorobę.

By dzieci chronić od chorób zakaźnych, rodzice powinni współdziałać ze szkołą, dzieci chorych na lekcye nie posyłać i ściśle przestrzegać przepisów lekarza, gdyż tylko w ten sposób można uchronić młodzież od chorób zakaźnych. Do najcięższych należą — żarnice i szkarlatyna.

Żarnice uważane są ogólnie za chorobę łagodną, jakkolwiek u dzieci słabszych występują po nich często poważne choroby płuc (zapalenie płuc, gruźlica), która kończy się często śmiertelnie. Zarazek żarnic udziela się nadzwyczaj łatwo; choroba jest przytem najbardziej zaraźliwą już w okresie wylęgania. A że okres wylęgania (od chwili zarażenia do wystąpienia gorączki i wysypki), jest przy żarnicach długi — trwa bowiem do 14 dni, więc dziecko, które chodzi jeszcze do szkoły i conajwyżej niedomaga, może już zarazić żarnicami towarzyszy szkolnych. To też szkoły przyczyniają się znacznie do rozszerzania epidemii żarnic.

Z objawów początkowych żarnic najwcześniejszemi są katar, kaszel, zapalenie spojówek ocznych (łzawienie, ból przy patrzeniu na światło) gorączka wieczorami i wreszcie wysypka, która zjawia się najpierw na czole i na twarzy. Wysypka odznacza się bladem zabarwieniem (różowa), jest wyniosła i nie pokrywa całej skóry, pozostawiając miejsca wolne; trwa ona kilka dni, poczem znika powolnie, pozostawiając dość długo brunatne plamki; po zniknięciu wysypki skóra schodzi w postaci drobnych, podobnych do otrąb łusek; łuszczenie występuje najwybitniej na twarzy i ciągnie się zwykle krótko do 2 tygodni.

Dziecko chore na żarnice, należy jaknajwcześniej ze szkoły usunąć; katar, suchy kaszel i niedomaganie, wreszcie zaczerwienienie oczu powinny szczególniej podczas grasującej epidemii żarnic, zwracać już uwagę nauczycieli, i dzieci podejrzane należy kierować do lekarza. Wczesne usunięcie ze szkoły chorego dziecka jest niezmiernie ważnem, bo żarnice w okresie początkowym są najbardziej zaraźliwe. Rodzeństwo chorego dziecka także do szkoły uczęszczać nie powinno, przenosić bowiem może zarazek na ubraniu i książkach, a i samo zresztą może już znajdować się w okresie wylęgania choroby. Po przebytej chorobie dziecko wrócić może do szkoły najwcześniej w 3 tygodnie od chwili wystąpienia wysypki, po zupełnem zakończeniu łuszczenia.

W stosunku do żarnic dość szeroko rozpowszechniony jest przesąd, że dzieci chore nie mogą być kąpane i powinny zostać w tej samej koszuli do chwili zupełnego zniknięcia wysypki; ponieważ zaś zabarwienie skóry (plamki bronzowe) utrzymują się nieraz dosyć długo, więc widuje się niejednokrotnie dzieci po żarnicach, pokryte grubą warstwą brudu, nie kąpane w ciągu 4—6 tygodni i więcej, z powodu owych niewinnych plamek po wysypce.

Nie potrzeba dowodzić, jak szkodliwym jest powyższy przesąd; leczenie przy żarnicach polega właśnie na najbardziej sumiennem zachowaniu czystości (przemywaniu oczu, ust, skóry), zaniedbanie bowiem w tym względzie prowadzi do różnych powikłań choroby (ciężkie zapalenie oczu). Dzieci szkolne muszą oczywiście przed ponownem przybyciem do szkoły być dobrze wykąpane i dostać świeżą bieliznę.

SZAFY.

Żadna gospodyni nie może sobie wyobrazić życia bez szaf, w których przechowuje bieliznę, suknie i cenniejsze przedmioty, chroniąc je od kurzu, słońca i złodzieja, — a jednak ten sprzęt, dziś niezbędny, nie ma za sobą długiego szeregu wieków.

Kołki lub gwoździe wbite we framugę zastępowały niegdyś szafę; otwór zasłaniano kawałkiem skóry lub kobiercem, później zaś, dla zabezpieczenia od niepowołanych rąk i ciekawych oczu, zasuwano deskami. Z czasem zamieniono to na sprzęt ruchomy, ciężki, niezgrabny, żelaznemi klamrami przymocowany do ściany. W inwentarzu zamku Vincennes z r. 1418 czytamy o komnacie, w której stało „10 grands arlmoires“, oznaczonych literami od A do K. Obijano je zewnątrz płótnem, na którem malowano obrazy Świętych, wnętrza zaś wyściełano tkaninami.

Jeszcze w XV-ym wieku szafa była rzadkością, używaną do przechowywania najcenniejszych skarbów, relikwii i dokumentów; do codziennego użytku służyły skrzynie i sepety. Średniowieczni snycerze zaczęli jednak ozdabiać szafy rzeźbą; sprzęty tego rodzaju posiadali patrycyusze norymberscy.

Szafy francuskie z XVII-go wieku to raczej cacka, odznaczające się zgrabnym, estetycznym kształtem, bogato ozdobione różnemi kruszcami, kością słoniową, zamorskiem drzewem, perłowcem, a nawet pół-drogiemi kamieniami. Na szczycie wznosi się złocona balustrada i takież figurki, przy wszystkich zamkach błyszczą bronzy artystycznie wyrobione. Często taka szafka renesansowa miała w środku marmurowe kolumienki a między niemi ściany zwierciadlane i maleńką fontannę z pachnideł. Te arcydzieła sztuki stolarskiej służyły wyłącznie do przechowywania klejnotów i osobliwości. Ludwik XIV kazał sobie zrobić taką szafkę; kosztowała 10,000 franków. Szafka na klejnoty cesarzowej Maryi Ludwiki była pięć razy droższa.

Na początku XVIII-go wieku wchodzą w modę wielkie szafy z drzewa orzechowego, podzielone na skrzydła i bogato rzeźbione. Zwykle wyobrażano na nich biblijne postacie niewieście: Ewę z wrzecionem w ręku, Judytę z mieczem, Agarę z dzbanem wody itd. Najsławniejszym fabrykantem sprzętów był we Francyi Karol Boule; przypisują mu wynalazek kolorowej mozaiki drzewnej, — tymczasem znali ją Grecy i Rzymianie. Holenderskie szafy ze szklanemi ścianami, używane do przechowywania sreber, porcelany i kryształów, zwane u nas „serwantkami“, znowu stają się modne.

Gdańsk słynął niegdyś z wyrobu modnych szaf; w każdym zamożniejszym domu polskim starano się o nie. Wobec ciągłych naszych stosunków z tem miastem łatwo było sprowadzać je wodą; spławiono do Gdańska pszenicę, przywożono zaś stamtąd różne towary i sprzęty.

Gozdawa.

Ubieranie balkonów.

Ubieranie balkonów dzielimy na kategorye. Przedewszystkiem ustawiamy lub wieszamy jedne skrzynki na niższej podstawie balkonu, a drugie u szczytu tegoż. Napełniamy ziemią inspektową, lub dobrą ogrodową.

Kategorya I. Jeżeli chcemy balkon ubrać tanio, to siejemy nasiona: rezedy, alisum, albo nasturcyę karłową na brzegach skrzynek; zatem siejemy groszek pachnący, albo nasturcyę pnącą, albo Impomoea (powoik). Do takiego samego obsiewu na górnych skrzynkach, jako ostatni rząd a pierwszy od wewnątrz balkonu — fasolę czerwoną, która się pnie po tyczkach, sznurkach, drutach — i ona swoją zielonością i kwiatami doskonale dekoruje balkon. Do groszku i nasturcyi pnącej dajemy gałązki rosochate do czepiania się.

Kategorya II. Do tej kategoryi zaliczamy flance (rozsady) kwiatów letnich, jak: Lobelia, berbena, lewkonie, balsaminy, floksy, petunie, astry, Zinnia.

Kategorya III. Pelargonia trzyma prym, z dodaniem na niższe obwódki: Gnaphalium, ageratum, a pod pelargonie: Begonia semperflorens.

Dla zasłony balkonu używa się: bluszcz, dzikie lub pachnące wino.

Rośliny na balkonach sadzimy gęściej, jak na klombach. Sadzimy w takich odstępach, że przy pełnym ich wzroście liście z sobą się zrosną.

Do powyższych kategoryi dołączamy ubiór wiosenny: bratkami, niezapominajkami, stokrotkami.

Słoneczne balkony najlepiej się nadają do pięknego zarostu roślin, byleby nie zasuszać roślin, w lecie silnie zlewać, a nawet dwa razy: rano i wieczorem.

KRONIKA.

— **Cześć „prostej chłopce".** Czesi mają obok *„Macierzy"* głównych, ogólnokrajowych, jeszcze nadto cały szereg „Macierzy" lokalnych, zwłaszcza w okolicach, gdzie ludność czeska jest tylko mniejszością wobec niemieckiej. Jedna z takich instytucyi, „Matnica Znojomska" na Morawach, weszła w tych dniach w posiadanie 25 000 koron, zapisanych jej przez Teresę Milnerową z Voskowa pod Znojmem. Wieśniaczka wyraziła w testamencie życzenie, aby zapisu jej użyto na założenie w samem mieście Znojmie (mającem cechę niemiecką) czeskiej szkoły średniej, a przynajmniej wydziałowej. Sama siebie nazywa w testamencie *„prostą czeską chłopką"*.

Najwyższa cześć takiej „prostej chłopce".

— **Kobiety w Rosyi** zostaną w najbliższej przyszłości na równi z mężczyznami dopuszczone do publicznej działalności nauczycielskiej przy szkołach wszystkich stopni. Minister szkolnictwa wniósł w Dumie projekt, by wszystkie kobiety, które ukończyły studya uniwersyteckie w kraju lub zagranicą, prawa takiego dostąpiły.

Dom i kuchnia.

Zimna legumina japońska.

Wobec drożyzny jaj, bardzo pożądane są leguminy dobre, a niekosztowne. Pewną ilość (bo jest zależne od liczby osób) ryżu opłukać i ugotować zupełnie miękko, na mleku. Wyłożyć na płaski półmisek, urównać płasko, na grubość palca, niech zastygnie tak jak kaszka drobna do pokrajania w kostkę.

Gdy ów ryż jest zupełnie zimny, małym kieliszkiem od wina, powykrawać krążki.

Parę małych pomarańcz obrać starannie, pokrajać w niezbyt cienkie plastry, odrzucając pestki. Zrobić syrop gęsty, do którego dodać trochę skórki pomarańczowej bardzo usiekanej, albo pokrajanej, ale tak cienko, jak nitki bawełny. Wlać do syropu sok jaki się zbierze przy krajaniu pomarańcz, razem ze skórką, podsmażyć, by syrop był gęsty. Na każdy krążek ryżu położyć plaster pomarańczy, te przez jakie 10 minut powinny się w syropie posmażyć. Gdy na okrągłym półmisku umieszczane są krążki ryżu, na które mamy już położone pomarańcze, dać drugą takąż samą warstwę, potem coraz zwężając, trzecią, na ostatku, na środku trzy krążki, potem skropić to wszystko syropem, którego powinno być tyle, aby osoba biorąca mogła mieć go przynajmniej dwie łyżki. Jeżeli niema pod ręką pomarańcz, to można wziąć jakąkolwiek konfiturę, lub marmeladę, a do podlania użyć soku. Przed podaniem na stół, wynieść tę leguminę na chłód.

Karmelki cytrynowe.

Pół funta cukru, polać pięcioma łyżkami wody i sokiem wyduszonym przez sitko lub muślin, z dwu cytryn, wymieszawszy to dobrze w rynce, postawić na mały ogień niech się gotuje około dziesięciu minut. Spróbować, łyżką syrop podnosząc i zlewając powoli; jeśli się ciągnie, jest gotowym. Następnie dodać masła świeżego, niesolonego, wielkości włoskiego orzecha, przemieszać kilka razy na ogniu — i masa jest gotowa. Do ostudzenia wylewa się ją na talerz masłem posmarowany; gdy trochę przestygnie, ale jest jeszcze nie zupełnie zastygłą, krajać nożem małe kwadraciki i postawić w przewiewnem miejscu do zupełnego oschnięcia. Można je później jak wszystkie tego rodzaju cukierki, owijać w czyste woskowe papierki. Cukierki te trzymają się bardzo długo (o ile za prędko się nie skonsumują) i mają właśnie podobieństwo w smaku do tak zwanych: gałek lodowych, tylko że są o wiele smaczniejsze.

Niszczenie moli w wełnianych materyach.

Bardzo skuteczny środek na wyniszczenie moli z materyi wełnianych i z dywanów, które opakowane przez tego rodzaju owady prędkiemu uledz mogą zniszczeniu, jest następujący: Bierze się mokrą chustkę, albo jaki inny kawałek materyi zamoczonej w wodzie, rozciąga się na oswobodzić się mającemu z moli suknie lub dywanie i prasuje gorącem żelazkiem, przeciągając takowe po całej powierzchni. Skutkiem gorąca, wilgoć jaką jest nasiąknięte płótno, przez które się prasuje, zamienia się w parę, ta przenika materyę lub dywan i w ten sposób wyniszcza wszystkie zarodki moli.

Dyspozycya obiadów na cały tydzień.

Niedziela. Rosół z kluseczkami, pieczeń cielęca z sałatą, bezy ze śmietaną.

Poniedziałek. Zupa szczawiowa z jajkami, pieczeń wołowa z jarzyną, kompot z aprykoz.

Wtorek. Zupa cytrynowa z ryżem, pieczona kura z groszkiem, legumina z pomarańcz.

Środa. Krupnik z kaszą, gołąbki w kapuście z osmażonemi kartofelkami, szarlotka z jabłek.

Czwartek. Barszcz z uszkami, kiełbasa z kapustą i kartoflami.

Piątek. Zupa rybna biała, kotlety z ryb, legumina z kaszki pszennej z sokiem.

Sobota. Zupa ogórkowa, zrazy zawijane z kaszą, kompot.

HUMORYSTYKA

Troskliwa chlebodawczyni.

— Moja kochana, dlaczego ta bona siedzi ciągle w domu, a dzieci nasze same bawią się w ogrodzie.

— Dla tego, że na bonę świeże powietrze fatalnie oddziaływa.

— Czyżby?

— Upewniam cię... Jak tylko parę godzin pobawi się z dziećmi w ogrodzie, dostaje tak wściekłego apetytu, że przy obiedzie nie można jej nastarczyć.

Młoda gosposia.

— Cóż ty tak ślęczysz nad tem dziełem o kucharstwie Ćwierciakiewiczowej?

— A, mam jutro prać bieliznę i chciałabym przeczytać odpowiedni przepis.

Propozycya.

— Panie, jak mi pan nie odda 25 koron, to zaskarżę pana do sądu.

— Tak? To wiesz pan co, pożycz mi pan jeszcze 25 koron i podaj o 50 koron, koszta jednakowe.

W handelku.

— Czas największy zabrać się nam do domu.

— A któraż to godzina.

— Dwunasta.

— Nie do uwierzenia, jak ten czas prędko leci. Wczoraj o tym czasie była dopiero dziesiąta...

Powołanie.

— Oskarżony, czem się trudnisz?

— O tem pan sędzia powinien najlepiej wiedzieć!

— Jakim sposobem?

— A przecież to stoi w protokule

— Ale tu tylko powiedziano, że cię policya ujęła na kradzieży...

— Bo to właśnie moje zajęcie, panie sędzio!

Na „tańcującej herbatce“.

— Pani musi namiętnie tańczyć walca?

— A to dlaczego?

— Bo pani ma twarzyczkę taką „walcowatą“.

Niemuzykalny.

— Pan zapewne muzykalny, panie Karwacki?

— Ja muzykalny? ja, proszę pani dobrodziejki ani na psa uczciwie zagwizdać nie potrafię...

U fotografa.

— No, a teraz zechce szanowny pan zrobić uśmiechniętą minę, pomyślawszy naprzykład o własnej małżonce...

— Kiedy mi właśnie przed tygodniem żona uciekła.

— No, to tem łatwiej chyba to panu dobrodziejowi przyjdzie.

Wiara uzdrawia.

— Wierzysz pan, że pojawienie się komety zwiastuje coś złego dla ludzi?

— Oczywiście, bo gdyby kometa była dla nas łaskawie usposobioną, toby ogonem na boki ruszała, a nie niosła go tak srogo wyprostowanego.

U rzeźnika.

Do sklepu rzeźnika wchodzi mały, najwyżej ośmioletni chłopczyna.

— Proszę pana o funt mięsa, tylko żeby było twarde.

— Twarde? A to czemu?

— Bo w przeciwnym razie tatuś zje wszystko, i mnie się nic nie dostanie.

U doktora.

— Więc co panu dolega?

— Czuję ogromne drżenie nóg, panie doktorze.

— Czy pan nie jesteś wypadkiem kasyerem?

Rozszerzajcie pismo nasze!

Przy zakupnach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszem.

Redaktor odpowiedzialny na Galicyą Marjan Hupczyc w Krakowie. Czcionkami „Dziennika Poznańskiego“
Wydawca A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odpowiedzialny Józef Zieliński w Poznaniu.